



# ODGŁOSY



ROK XIX NR 20 (962)

13 MAJA 1976 R.

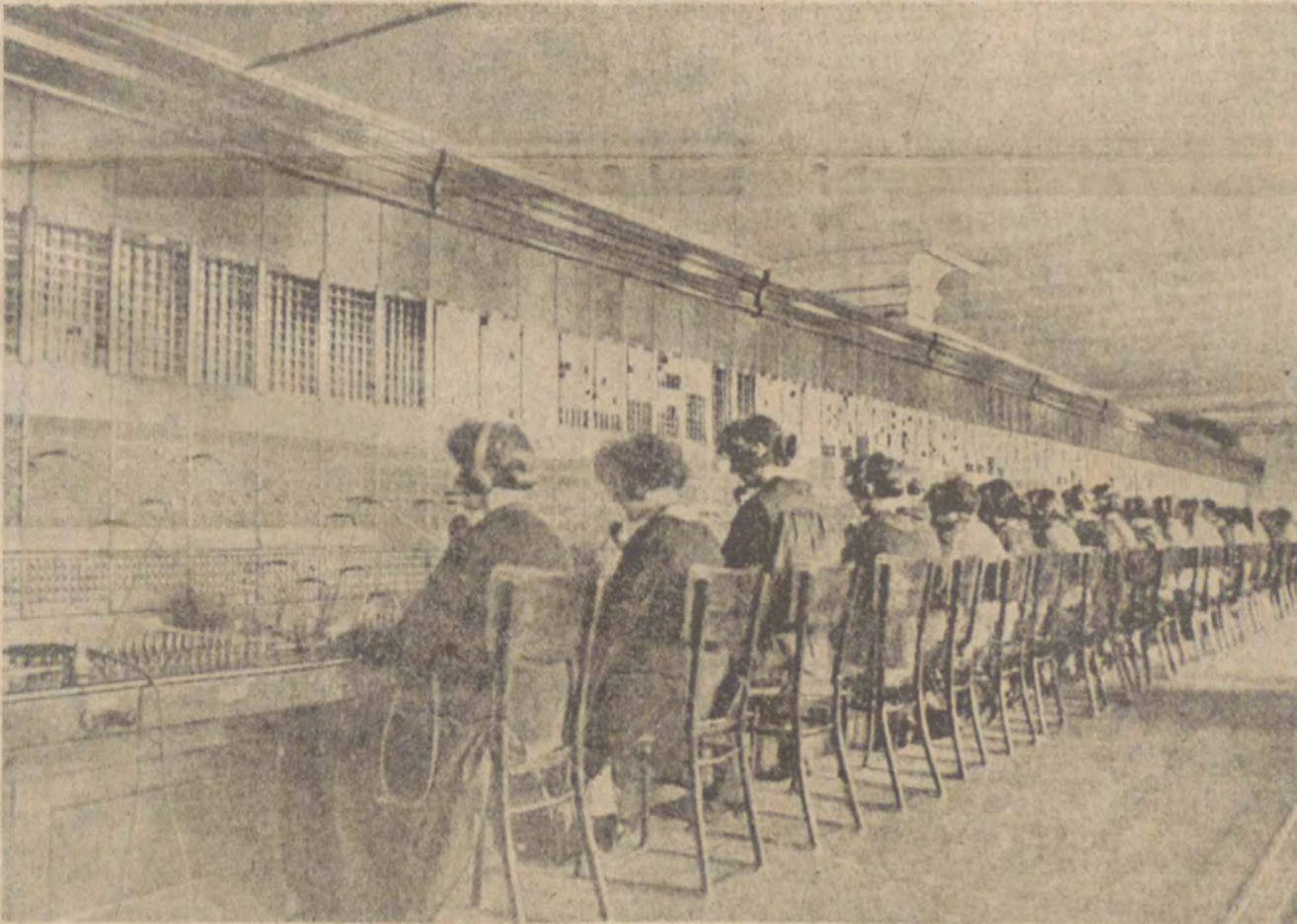
CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## HISTORIA TECHNIKI

MIROSŁAW WOJALSKI

### TELEFONY



10 marca 1876 roku, Alexander Graham BELL, nauczyciel wymowy i muzyki w bostońskiej szkole głuchych, a ponadto fizyk-amator wypowiedział – jak chce anegdota – do niejakiego pana Watsona, swego pomocnika przebywającego w odległym pokoju laboratorium, słynne słowa: „Mr Watson, com here. I want you”. Powiedział to przez telefon.

30 kwietnia 1881 roku lwowska „Gazeta Narodowa” pisała: „Gdyby kto przed pięćdziesięciu laty zapowiedział, że będzie mówił, śpiewał i grał w Żółkwi, a będą go dokładnie słyszeć we Lwowie – większość wykształconej publiczności uznałaby go za półgłówka...”

A dalej gazeta relacjonuje obszernie publiczną transmisję koncertu muzyki właśnie z Żółkwi do Lwowa (30 km!) dokonaną przy pomocy telefonu udoskonalonego przez Polaka, inżyniera Henryka Machalskiego: „...aparatus pana Machalskiego funkcjonował znakomicie! Głos ludzi przynosił telefon dokładnie”.

Dalszy ciąg na str. 8

## KULTURA

### ZWIĄZKI WZAJEMNE

Jeszcze chyba nie w pełni doceniamy znaczenie, jakie miał dla mniejszych ośrodków miejskich nowych podział administracyjny kraju. W nowych województwach, utworzonych przed niespełna rokiem, gdy uporano się z kłopotami kadrowymi i organizacyjnymi, przystąpiono do solidnej roboty. Już teraz, po tych kilkudziesięciu miesiącach, najwyraźniej dostrzec można ożywienie kulturalne, przy czym od razu zastrzegam, że nie chodzi mi o rozbudzone tu i ówdzie ambicje, lecz o aktywność działaczy, którzy w nowej sytuacji dostrzegli szansę kulturalnego awansu swoich regionów.

Wzrosło znaczenie instytucji zajmujących się kulturą, które rozpoczęły pracę nie zawsze w łatwych warunkach. Zaczęto docierać do miejsc, gdzie pracę kulturalną trzeba było zaczynać „od podstaw”. Instytucje te zaczynają gromadzić nowe doświadczenia, które niewątpliwie będą pomocne w dalszej pracy. Bogatsi o te doświadczenia dyrektorzy wydziałów kultury i sztuki Urzędów Wojewódzkich w Sieradzu – mgr ADAM FUDAŁA, w Piotrkowie – mgr BOGUSŁAW NOWAK i w Łodzi – mgr WŁODZIMIERZ POSPIECH, przedstawili aktualne problemy, którymi na ich terenie należy zająć się w pierwszej kolejności, przedstawili sprawy, które warunkować będą rozwój kultury w poszczególnych województwach.

Dalszy ciąg na str. 3

## ŁÓDŹ-76

TADEUSZ SZEWERA

### BRZOZY ZAZIELENIA SIĘ ZNOWU...

Stoję w miejscu, gdzie jeszcze wczoraj pracowała koparka drążąc głęboki wykop pod nowy blok. Nie tak dawno spychacze równały tutaj teren po zburzonym drewniak i mizernym ogródku. Ludzie wyprowadzili się stąd, zabierając zapewne ze sobą żal po przeszłości. Na mizernej ojcowiznie spędzili kawał życia i to bardzo ludzkie uczucie musiało im towarzyszyć w drodze „na nowe”. Czy otrzymali mieszkanie w którymś z tych dziesięciopiętrowców wystrzelających ponad niższe bloki, czy też wywedrowali do innej, odleglejszej dzielnicy miasta? Trudno to sprawdzić. Tylko wróble nie zmieniły starych kwater i po dawnemu hałasują w pobliskich krzewach.

Dalszy ciąg na str. 5

?

### „PONIEWAŻ USTALIŁEM JUŻ DATĘ własnego pogrzebu...”

Stereotyp nakazuje wszelkie publikacje, powstałe w wyniku listownej inspiracji Czytelników, zaczynać zdaniem: „Do redakcji nadszedł list...”

Dalszy ciąg na str. 5



# ZWIĄZKI WZAJEMNE

Dalszy ciąg ze str. 1

**ADAM FUDAŁA:** — Jeśli mamy mówić o efektach naszej prawie rocznej pracy, to na początku muszę poczynić pewne zastrzeżenia. Otóż, nie chciałbym, aby z naszej rozmowy wynikało, że to, co się teraz dzieje, stanowi dorobek jedynie ostatnich miesięcy. Wiadomo, że tereny, które weszły w skład województwa sieradzkiego, od dawna znane są z dużej aktywności kulturalnej. Sądzę, że dobrze będzie uprzytomnić sobie i czytelnikom, czym dysponujemy, a zarazem co z dotychczasowego dorobku zamierzamy rozwijać i wzbogacać.

Mamy kilka stosunkowo aktywnych ośrodków kultury: Zduńska Wola, Łask, Wieluń, Poddębice oraz Sieradz. W każdym z nich jest grupa działaczy kultury. Właśnie na nich, na ich pracy operamy plany kulturalnego rozwoju województwa.

Naszą wizytówką był i jest folklor. Mamy zespoły pieśni i tańca w Dobroniu i Konopnicy. Zespołem z Dobronia opiekuje się Wojewódzka Spółdzielnia Pracy „Sigma”, w Konopnicy — Związek Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

— Zespoły folklorystyczne ma też województwo piotrkowskie. Byłem niedawno w Opocznie i odwiedziłem kilka tamtejszych placówek. W wielu regionach kraju folklor ginie. W Opocznie udało się ten proces zahamować, ale tam wpała się młodym umiłowanie kultury ludowej już od — dosłownie — przedszkola.

**BOGUSŁAW NOWAK:** — Dwa z opoczyńskich przedszkoli nastawione są wyłącznie na przekazywanie dzieciom tradycji ludowych. Dzieci w tym przedszkolu chodzą w strojach opoczyńskich, uczą się tańców i przysłów. Występują przed publicznością. Jest tam też kilka zespołów „dorosłych”: „Opocznianka”, „Tramblanka”.

— Ale folklor to sprawa tylko części naszego województwa. W pozostałych występują elementy folkloru miejskiego. Mamy po prostu więcej miast: Tomaszów, Bełchatów, Radomsko czy Piotrków.

Dysponujemy wprawdzie skromną bazą lokalową, ale jest ona lepsza niż w innych województwach. Mamy kilka domów kultury: w Radomsku, Opocznie i Woli Krzysztoporskiej i

tym placówkom trzeba nadać sensowny kierunek działania. Nie będzie to wprawdzie łatwe, tym bardziej, że w ostatnim czasie mniej zajmowaliśmy się istniejącymi placówkami, powoływaliśmy nowe. Powoływaliśmy między innymi Biuro Wystaw Artystycznych.

— **Biuro Wystaw Artystycznych powstało też w Sieradzu. Dlaczego zaczęliście od organizowania BWA?**  
**ADAM FUDAŁA:** — To był świadomy wybór. Wiadomo, że małe ośrodki miejskie, takie jak Sieradz czy Zduńska Wola nie mogą pozwolić sobie na teatr czy filharmonię. Muszą więc decydować się na takie formy działania, które są realne. Dlatego powołaliśmy BWA. Odbyło się już kilka wystaw. Wystawiał Józef Wasiołek z Łodzi. BWA powinny organizować wystawy z całą oprawą. Myślę tu przede wszystkim o katalogach. Katalogi wydane przez nas nie ustępują ani zawartością ani redakcją katalogom innych placówek.

Za kilka miesięcy utworzymy drugą stałą galerię w Zduńskiej Woli, w ośrodku, który pod różnymi względami stanowi nasze centrum kulturalne. Ale to nie zmienia faktu, że województwo sieradzkie ciąży ku wielkiemu łódzkiemu ośrodkowi kultury.

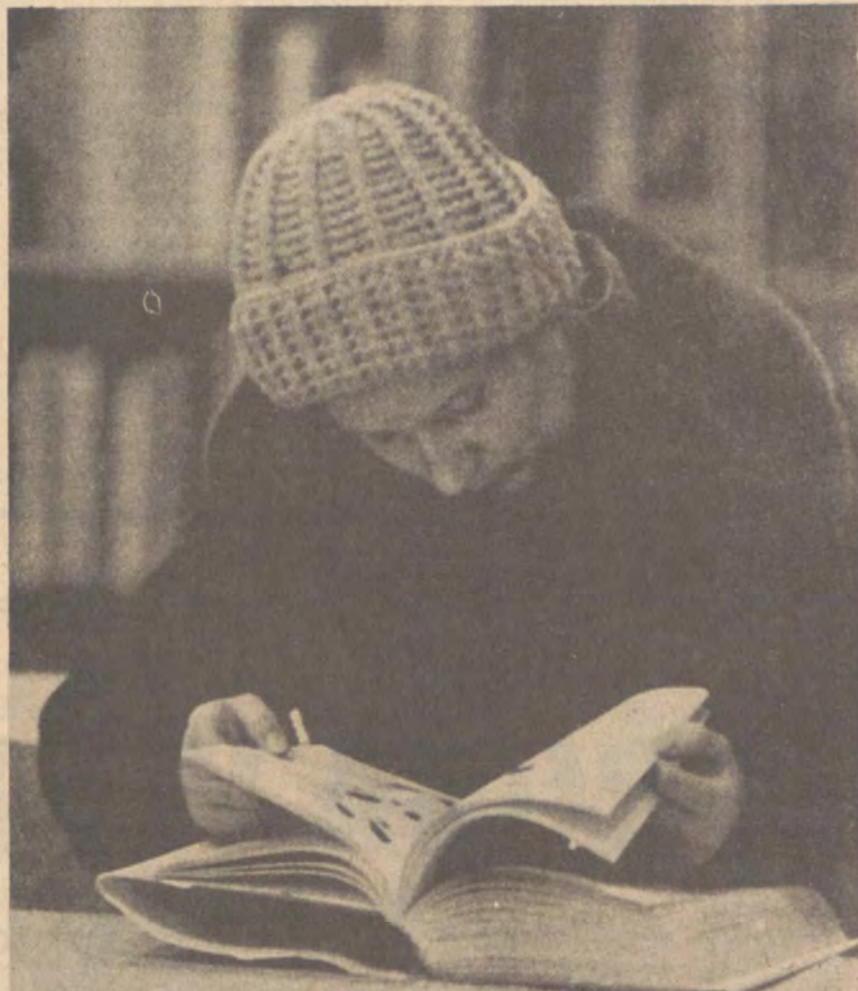
— **Piotrkowskie chyba także.**  
**BOGUSŁAW NOWAK:** — Oczywiście, z tym, że u nas występuje jeszcze problem kultury na wsi.

**WŁODZIMIERZ POSPIECH:** — W Łodzi też.

**BOGUSŁAW NOWAK:** — Jesteśmy teraz w trakcie tworzenia gminnych ośrodków kultury. Mamy z tym ogromne kłopoty, przede wszystkim z bazą. Jest kilka dobrych ośrodków: w Wolborzu, Klukach, Białaczewie.

Niedługo powstanie ośrodek kultury w Białobrzegach Opoczyńskich. Ale ośrodków dysponujących odpowiednim zapleczem jest niewiele. O pozostałych lepiej nie mówić.

**WŁODZIMIERZ POSPIECH:** — Gminne ośrodki kultury to dla nas rzecz zupełnie nowa. Jeśli spojrzymy na mapę, to okazuje się, że województwo miejskie łódzkie jest najmniejsze w kraju. Jeśli jednak porównamy obecne granice z poprzednimi, to okaże się, że nasz obszar powiększył się prawie siedmiokrotnie. Przez wiele lat do Łodzi napływały mieszkańcy okolicznych miast i wsi. Ci ludzie tu pracują, tu także korzystają z dóbr kultury. Obecnie staramy się stworzyć im w miejscu zamieszkania choćby podstawowe warunki do korzystania z kultury. Jest to poważne przedsięwzięcie, tym bardziej że teren wokół Łodzi pozabawiony jest niemal całkowicie zaplecza kulturalnego, z wyjątkiem Zgierza czy Pabianic, choć



i do tamtejszej bazy można mieć zastrzeżenia. Prawie wszystkie gminy i sołectwa, z niedalekiego sąsiedztwa Łodzi, do których można dojechać tramwajem czy autobusem, nie mają odpowiedniej bazy. Zaczęliśmy więc z inicjatywy KŁ PZPR tworzyć gminne ośrodki propagandy i kultury. Po prostu brak nam kadry, brak bazy, aby rozdzielać sprawy propagandy i kultury. Działają już siedem takich ośrodków, nad którymi sprawują patronaty te zakłady, w których pracują mieszkańcy gmin. Liczymy na taki patronat, choć jest to w jakiś sposób eksperyment, a więc na ocenę trzeba będzie poczekać.

Łódź także wzbogaciła się o folklor. Mamy teraz do czynienia z folklorem leżącym w okolicach Ozorkowa i częściowo z łowickim w Rejonie Główna. Mamy nawet zespoły ludowe, na przykład kapelę ozorkowską czy zespoły w Bychlewie i Mąkolicach. Jest to dla nas również nowa sprawa.

**ADAM FUDAŁA:** — Ale Łódź była i jest wyposażona w odpowiednie instytucje kultury, gdy my musieliśmy wiele stworzyć od nowa. Dużo pomogli nam w tym łódzkie instytucje. Zresztą traktujemy je nadal jako instytucje — matki. Jest to zresztą działanie dwustronne. My otrzymujemy pomoc, a dla łódzkiej instytucji otwiera się możliwość szerszego oddziaływania.

**WŁODZIMIERZ POSPIECH:** — Wspomniany Józef Wasiołek dzięki nowym galeriom mógł wystawić w Sieradzu, niedługo wystawi w Zduńskiej

Woli czy Piotrkowie. Przed rokiem takiej możliwości nie było.

**ADAM FUDAŁA:** — Podobne inicjatywy ma Teatr Wielki i Filharmonia. W Sieradzu nie skorzystaliśmy jeszcze z tych możliwości, ale niedługo będziemy mieli wspólną halę widowiskowo-sportową i wtedy skorzystamy.

**WŁODZIMIERZ POSPIECH:** — Warto też pamiętać o społecznym zaangażowaniu ludzi kultury i środowisk twórczych, dla których rozwój kultury w nowych województwach stwarza nowe możliwości i perspektywy, rozszerza kontakt z nowym odbiorcą sztuki.

**ADAM FUDAŁA:** — Trzeba dodać, że niewiele działaliśmy bez społecznego ruchu kulturalnego, bez ludzi, którzy nie pracują zawodowo w kulturze, ale którzy całą pasję i zaangażowanie poświęcają tym właśnie sprawom. W sieradzkim próbujemy ująć ten ruch w ramy organizacyjne. Tworzymy Sieradzkie Towarzystwo Fotograficzne i Muzyczne. Tu wzorujemy się na Łodzi.

**WŁODZIMIERZ POSPIECH:** — Bez społecznej inicjatywy i my, choć jesteśmy nieźle wyposażeni w zawodowe placówki kultury, niewiele byśmy zdziałali.

Rozmowę prowadził  
i zanotował:  
**MIROSLAW KUŹNIAK**

# KAROL LIBELT

Heż to rarys wypadło nam zwracać uwagę na niedostatki naszej historycznej biografistyki? Sprawa bowiem przedstawia się tak, że w poszukiwaniu — skądinąd najbardziej uzasadnionym — nowych horyzontów poznawczych nauki historycznej, zaniedbujemy dziedzinę uważaną za „stare”, nie oglądając się na to, że również w nich wiele jeszcze pozostało do zrobienia. A dobrej historycznej biografistyki mamy znacznie mniej niż literatury niemieckiej, francuskiej czy rosyjskiej. Ponadto dziejopisarstwo biograficzne dziś samo się zmienia i unowocześnia: współczesne dzieła tego gatunku bardzo niewiele przypominają zbeletryzowane „vies romancées”, tak wciąż ulubione przez wydawców i czytelników. Tak czy inaczej, wiele jest jeszcze do zrobienia, brakuje nam bowiem licznych dzieł, przedstawiających w sposób pełny i wyczerpujący życie i działalność wielu wybitnych postaci z naszych dawniejszych i bliższych nam dzieł: działaczy politycznych i społecznych, twórców kultury itd.

Do takich wybitnych postaci, którym należy się tego rodzaju solidna, pełna biografii, zalicza się z całą pewnością Karol Libelt. „Bibliografie wykazały — czytamy na wstępie poświęconej mu książki — że mimo swych wielkich i wszechstronnych zasług, Libelt nie ma odpowiadającej jego historycznej roli biografii naukowej. Libeltem interesują się też szersze kręgi społeczeństwa, w wielu miastach w Polsce nazwano jego imieniem ulice, a niekiedy jego imię nadano szkołom. Znamiennie, że duże zainteresowanie tą postacią wykazuje młodzież, o czym piszący te słowa mógł się przekonać, kiedy wygłaszał pogadanki i wykłady o Libelcie”.

Tak pisze znany poznański historyk Zdzisław Grot w „Słowie wstępny”, otwierającym opracowanie pod jego redakcją obszernie dzieło zbiorowe, zatytułowane: „Karol Libelt 1807-1875”, opublikowane staraniem poznańskiego Oddziału Państwowego Wydawnictwa Naukowego (1976). Autorami tej pięknej i jakże potrzebnej książki są, oprócz Z. Grota, następujący uczeni: Seweryn Dziamski, Jan Helliwig, Roman Kozłowski, Stanisław Michałski, Maria Michałowska, Franciszek Paprocki, Jan Stoliński i Andrzej Wojtkowski. Ostatni z wymienionych zmarły w 1975 r. historyk, autor licznych prac z dziejów Wielkopolski, między innymi monografii o Edwardzie Raczyńskim, był niewątpliwie najznakomitszym znawcą życia i działalności K. Libelta. Przed II Wojną Światową pracował nad jego monografią, opublikował wiele artykułów i materiałów, zdołał nawet napisać całość dzieła, które jednak zginęło w czasie zawieruchy wojennej. Nie zdobył się na jego pełne zrekonstruowanie; było to już ponad jego siły. Skreślił jednak cenny syntetyczny szkic, wydany w 1959 r., a następnie, ogłoszone w omawianym tomie, zwięzłe „Refleksje nad życiem i twórczością Karola Libelta”.

Wybitny filozof — jeden z nielicznych polskich uczniów wielkiego Georga Wilhelma Hegla — działacz polityczny i społeczny, poseł do parlamentu we Frankfurcie w okresie Wiosny Ludów, następnie do sejmiku pruskiego w Berlinie, demokracja w dawnym, solidarystycznym stylu, był jednym z wybitnych naszych „nauczycieli narodu” przez długie lata XIX stulecia. Wierzył w lepszą przyszłość Polski, a wiara ta nie zachwiała się mimo powstania po wojnie francusko-pruskiej Cesarstwa Niemieckiego. „W jednej ze swych ostatnich rozpraw — „Wielające się idee czasu”, wydukuwanej w stańczykowski „Przeglądzie Polskim” — podkreśla A. Wojtkowski — scharakteryzował wysoce postawienie dziejowe poszczególnych narodów, stawiał Polskę jako przedstawicielkę „idei chrześcijańskiej polityki międzynarodowej, za którą obecnie ponosi meczetwo i śmierć polityczną”. Przepowiadał, że „po meczecie, na drzewie krzyża” zmarchwianiał. Idee mesjanistyczne zawarte w tych słowach były już wówczas anachronizmem, ale zawierały szlachetną, piękną treść: wiarę myśliciela w odrodzenie narodu, tę samą, która przemieniowała z kart jego dzieła „O miłości Ojczyzny”, będącego jakby katechizmem polskiego, romantycznego patriotyzmu w dobie zaborów. Jako człowiek zaangażowany w działania polityczne i społeczne, poświęcający się krzewieniu oświaty, podkreślał swój związek z demokracją, w Krakowie w roku 1869 powiedział, że przez całe życie wyznawał „zasadę demokratyczną”, a więc, że „lud jest podstawą i siłą społeczeństwa”, że przywrócić mu należy prawa przywłaszczone sobie przez mniejszość, czyli klasę posiadającą”. Nie szukał jednak rewolucyjnej drogi, dla zrealizowania tej przemiany: marzył o spokojnej ewolucji, o reformach i rozwoju oświaty.

Opublikowana pod redakcją Z. Grota monografia o K. Libelcie przynosi, oprócz szerokiego rysu życia i działalności bohatera, również przedstawienie jego poglądów filozoficznych, społecznych i pedagogicznych. Filozofie K. Libelta opracował tu R. Kozłowski, poglądy społeczne zreferował S. Dziamski, myślą pedagogiczną zajęli się J. Helliwig i S. Michałski. Całość zamknięta wizerunkiem, obejmująca zarówno druki, jak wszelką spuściznę rękopiśmienną, bibliografią twórczości myśliciela, opracowana przez M. Michałowską. Szkoda zapewne, że ograniczono się tylko do tej problematyki, że nie uwzględniono tu opracowania libeltowskiej historiozofii, która miała tak istotne znaczenie dla naszej romantycznej myśli historycznej. Ale to, co uczyniono, jest to bardzo wiele: piękne to dzieło, ogłoszone w 101 roku po śmierci jednego z naszych najwybitniejszych myślicieli doby Romantyzmu — Karola Libelta.

Notował:  
**KONRAD FREJDLICH**

LEKTOR

# JEDNO PYTANIE

CZY LUBI PAN PIOSENKI?

Odpowiada: **JERZY WILMAŃSKI**

Lubię i wcale się tego nie wstydzę, chociaż moi koledzy po piórze często się na nie wybrzydzą. Poezja, którą także lubię i uprawiam, przy dzisiejszych nakładach prawie nie funkcjonuje w świadomości społecznej, toteż na życzliwość zasługują próby określane często jako „poezja śpiewana”, bo w tej formie może ona dotrzeć do dziesiątków, jeśli już nie setek tysięcy słuchaczy. Ale potrzebna jest także zwykła piosenka, która potrafi przeciwieństwo oddać wszystkie nastroje i dlatego znajduje tylu zwolenników.

Może z tej przyczyny spróbowałem i ja swych sił w tym nowym dla mnie gatunku, edyż staram się sprawdzić w możliwie największej ilości form. I działając na tym polu doszedłem do wniosków paradoksalnych. Jak wiadomo poezja współczesna charakteryzuje się rozbięciem tradycyjnych struktur. Piosenka, jak klasyczny sonet, ma wciąż swoje żelazne

rygory. Jest w niej przeciwieństwo i refren, musi być odpowiednia ilość sylab i właściwe rozłożenie akcentów. W tej pracy przydaje się dobry warsztat poetycki, któremu nie zawsze potrafią sprostać „tekściarze” zalewający nas często tandetą, której nie należy utożsamiać z tekstem popularnym czy nawet banalnym, bo to zupełnie co innego. Zresztą na festiwalach z reguły zdobywają nagrody piosenki o tekstach ambitnych. Szkoda, że towarzyszy im czasami banalna muzyka, bo w tej dziedzinie najlepsza jest chyba równowaga między słowem i melodią.

Piosenka może dać satysfakcję nawet poecie. Mam tutaj na myśli cykl wierszy, jakie napisałem do muzyki Bacharach dla zespołu „Camer-ton”. Myślę, że nie raz jeszcze spotka mnie podobna przygoda twórcza i dlatego nie wstydzę się twierdzić, że lubię piosenki.

CZY ADAPTACJE  
SĄ POTRZEBNE?

Odpowiada: **WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

Adaptacja cudzych tekstów literackich na scenę czy na

ekran jest czynnością podejrzaną. Dzieło oryginalne, dramat lub scenariusz, może być lepszy albo gorszy, ale nie budzi tylu wątpliwości. Wiadomo kto jest autorem, komu przysługuje całość praw moralnych i materialnych do utworu. Ale adaptator, biorąc do przeróbki cudzy utwór, dobrowolnie skazuje się na to, że będzie mu się patrzeć na ręce. Jak potencjalnie może złośliwemu. Musi więc nie tylko pracę adaptacyjną wykonać, ale jednocześnie udowodnić swoją uczciwość.

Adaptacja nie jest wyłącznie problemem warsztatowym. Utruchamiam niemal automatycznie kompleks spraw natury moralnej i etycznej.

Weźmy pierwszy z brzegu przykład. Znany nasz poeta i dramaturg zaadaptował przed ośmiu laty dla teatru TV nowelę Paustowskiego „Deszczowy przedświt”. Nastrojowe, utrzymane w póltonach, o nikłej fabule opowiadanie stało się niedość nośną kanwą dla widowiska telewizyjnego. Wąski kanał, którym sączył się strumyk prawdy o ludzkiej egzystencji, trzeba było poszerzyć, rozbudować. Tego doko-

nal wówczas adaptator, tworząc nową strukturę, ale podkreślając skromnie w czołówce spektaklu, że scenariusz oparty jest o nowelę Paustowskiego. W nadanej przed paru tygodniami przez telewizję nowej, filmowej wersji tej samej noweli adaptator wygulbił już całkiem nazwisko Paustowskiego, choć przejął z pierwowzoru literackiego zarówno nie zmienione postacie bohaterów, jak i sytuację wyjściową. Czy miał rację? Może tak, może nie. Nie będę wdawać się w tej krótkiej głosie w sądy. Opisany casus postużył mi do zademonstrowania złożoności problemów etyczno-moralnych, jakie rodzą się z praktyki adaptacyjnej.

Więc może lepiej nie adaptować wcale? Na to nie pozwolił chochy ów żarliwny molołoch, wiecznie nienasycony, wciąż wołający o teksty. Telewizja.

Notował:

**KONRAD FREJDLICH**

## LITERATURA

— Dlaczego panna Kryśka płacze?  
Dorotka przystaje na progu pokoju nauczycielki. Jak mysz, czy leśne zwierzątko — łasiczka, tchórz wcisła się bezszelestnie w kątek. Zdziwionymi oczyma spogląda na niecodzienne zjawisko. Na spuchniętą, zmienioną twarz pani. Nie pyta, nie indaguje. Tego nauczyła ją kilkuletnie doświadczenie. Nie pytać, gdy dorodziła płaczą. Siedzi i patrzy szarymi, spłoszonymi oczyma, kryjąc je na pół powieką. Co się mogło zdarzyć pannie Kryśce? Nie musi się uczyć jak dzieci, nie musi tyrać ciężko jak mama.

Mamusia często powtarza, że praca co nie brudzi rąk, że żadna praca. Kryśka nie może jednak wyjaśnić swego bólu zdziwionym, czystym oczom dziecka. To, co spowodowało depresję, co wycisnęło potoki wstydlivych łez, musi przeżyć sama. Cierpieniem własnego serca. Głupiego, nadwrażliwego, ale jej własnego. Ryszarda poznała w Klubie Młodej Inteligencji. Powstało wiele takich klubów po pięćdziesiątym szóstym roku. Od matury Kryśka minęła właśnie dwa lata. Zaczęła uczyć zaraz po ukończeniu Liceum Pedagogicznego, przydzielono jej szkołę blisko domu rodzinnego, tu w Łęgowie. Stąd dojeżdża do powiatowego miasta, gdzie znajduje się Studium Nauczycielskie.

Początkowo Ryszard śmieszył ją i raził. Wszystkim. Uborem pozwanym na amerykańskie ciuchy, długimi, kasztanowatymi włosami, manierą wtrącania angielskich słów w rozmowę i fajką — szczytem snobizmu. A jednak, gdy ten właśnie chłopak odkrył, że Kryśka jest ładna, nieprzeciętna, interesująca, pokochała go szczerze, ufnie, z oddaniem pierwszego naiwnego uczucia.

Teraz każdy film, oglądany we dwoje, ma inny wyraz, a krótki telefon w ciągu dnia, odebrany w sekretariacie pod obstrzałem spojrzeń zaintrygowanego grona, wywołuje słodkie, nie znane dotychczas uczucie posiadania. Wzajemności. Po takiej rozmowie nawet najchmurniejszy dzień wydaje się jasny i optymistyczny.

Właśnie podobny telefon zelektryzował kiedyś Kryśkę, przydał jej życia nowego, niespodziewanego rumieńca. Brzydula ze Snopisk (we własnym pojęciu) ani śmiała marzyć o takiej propozycji.

— Kryśka, słuchaj Mała, może wybierzesz się na ten bal nauczycielski, wiesz, do dwójki. Jak ci się widzi, Darling? Mam ochotę rozruszać kości. All right?

— Ja?  
Kryśka milczy przez chwilę, ale intonacja pytania mieści już w sobie odpowiedź, że tak, że — z entuzjazmem. Ryszard nie rozumiał jednak brzmienia głosu dziewczyny. Kryśka nawet nie przeczuwa, że milczenie działa na jej korzyść.

— Co? Odmawiasz? No, Kryśku, kochanie, bardzo proszę, nie rób mi tego. Myślę, że na nasze łęgowskie warunki będzie tam O.K. Pewnie, że to nie Warszawa, czy Kraków, ale zawsze zbierze się znośne grono, potaniamy, powyglupiamy się trochę, nie chcesz?

Kryśka odzyskuje głos.  
— Ależ, ależ Rysiu. No dobrze. Zgadza się. Dziękuję. Tylko kiedy ten bal, wiesz tak bylam zapędzona ostatnio...

Ryszard śmieje się bagatelizująco.  
— W sobotę, mam nadzieję, nawet pozytywne działaczki młodzieżowe mają popołudnia wolne. Co, Kryśko?  
„Kryśko” kiwa głową, choć tego pan inżynier zgola dojrzeć nie może, uśmiecha się w przestrzeń i zanim odłoży słuchawkę na widełki, zaczyna martwić się wszystkim. Ze tańczy słabo. Ze nie ma sukni odpowiedniej na taką okazję. Ze...

Pozostałe dni tygodnia pędzą jak ambitne araby na torze wyścigowym. Sobota!

Skromne oszczędności Kryśki pochłonęła tafta, bogata, mieniąca się morsko-kobaltowym odcieniem. Sukienka ma buflki jest dostojna i nowa. Zabójczo nowa. Pierwsza elegancka toaleta. Na szyi sznurek mamsinych perełek. Buty posmarowane wilbrą imitującą udatnie świeżość. Nie jest źle.

A najważniejsze, że ją, Kryśkę, Kryśkę, Kryśkę, kocha taki wspaniały, nadzwyczajny chłopak. Ryś.

Imponuje Kryśce swoboda, z jaką on porusza się w mało znanym środowisku. Ostatecznie w Łęgowie jest tylko na delegacji. Ryszard, jej Ryś, w ciemnym garniturze, doskonale skrojonym, z popielatym przeliskiem krawata, do którego dobrał srebrne, oksydowane spinki. Olsnie-

wiele miłych rzeczy, zapamiętała je.

Obok dawnych wad konterfekt Ryszarda wylania nowe cechy, które tyłuż rażą, co śmieszają. Dlaczego ukończony chłopak jest tak bardzo próżny? Ryszard ogromnie lubi się szcycić erudycją Kryśki. Pożal się Boże, co to za erudycja, ale fakt faktem, wychowano Kryśkę z przystojną książką w ręku, w domu wiecznie mówiono o literaturze, sztuce, dziejach myśli naukowej. Istotnie umiała odróżnić Rapackiego od Lewitana, czy główki kobiece Axentowicza od Stachewiczowskich „Honoratek”. Od biedy mogła też wymienić podstawowe doktryny u Hegla, Kanta, czy Schopenhauera. Sama doskonale wiedziała, ile jej brakuje do gruntownej wiedzy, dlatego uczyła się...

jej rodzinnego domu. Nie poczucie piękna, wartości, ale snobizm. Bo choć teraz rodzicom ciężko, a i przed wojną, czy w czasie okupacji cudem wzięli „ekonomikę” domową, nie sprzedaliby dla chleba, odziedziczonego po dziadku, szkicu Kossaka, czy czeczotkowego sekretarza. Czasem przez głowę Kryśki przepływają „świętokradcze” myśli, gdy mróz wcisła się pod wyszarzały płaszcz, że za jeden z tych obrazków antykwariat łódzki zapłaciłby tyle, że wystarczyłoby na „barany” dla niej i dla matki, ale nie ośmiela się przed sobą nawet skonkretyzować tych, zgola niewczesnych zachceń. Dziadek był znanym warszawskim księgarzem i spuścizna po nim nie powinna iść w obce ręce.

tejską maksymę, że człowiek i jego wnętrze ważniejsze zawsze od zewnętrznej powłoki. Przeświadczenie może i trudne dla młodej dziewczyny, ale dotychczas skuteczne. Teraz jednak zetknięcie z pięknościami dużego miasta, modnymi, zblazowanymi, które ciekawie spoglądały na Ryśka, na nią ironicznie mrużąc oczy, zdeprymowało ją nagłe. W tej chwili wolałaby nie wiedzieć nic o bitwie pod Płowcami, czy o kulturze Inków, a mieć na sobie jakiś atrakcyjny ciuch. Sokrates raptownie otrzymał mata.

Kulminacyjny punkt upokorzenia nastąpił w momencie, gdy kelnerka topiąc kokieteryjnie spojrzenie w oczach gościa zagadnęła Ryśka:

— Ileż tego błota na naszych, łódzkich wertepach — tu skierowała niby przypadkiem wzrok w kierunku nóg Kryśki. Każdy wie, że błoto zawsze czepia się silniej starego zniszczonego obuwia.

Ryśek nie odpowiedział wprawdzie na słowa kelnerki, ale Kryśka zauważyła ciemny rumieniec oblewający mu twarz, szyję, rozplamiający uszy. Znała już go na tyle, aby zrozumieć, że nie bolał nad wyrządzoną jej przykrością. Wstydził się. Zwyczajnie wstydził się jej skromnego stroju, nieszczęsnych buciurów.

Zacisnęła zęby, czuła, że w gardle dławi ją twarda, gorzka kula powstrzymanego łkania.

Już na ulicy zrozumiała, jak są sobie obcy. Dalecy. Jedno dobre słowo, gest czułości ze strony Ryśka naprawiłby wszystko. Nastrój. Upokorzenie. Wróciłaby wiara w ludzką delikatność, w wyrozumiałość. Zbagatelizowałaby wtedy całe zajście. Było, przeszło, nie warto wspominać.

Szedeł obok grzeczny, poprawny, daleki. Tak właśnie wyglądał cudzy wstyd. I o co? Jeszcze nie dojrzał do właściwych ocen. Nie pomyślała — mięczak. Zbyt wysoki był cokół, na który wyniosła swe cherubinowe bóstwo.

Ramiona Kryśki drżą, nie może opanować zbyt długo powstrzymanego przed obcymi płaczu. Obrzmiała twarz pali, w przekrwionych oczach ciągle zlewają się słonogoczące łzy.

Nagle... Dziecinne ręce oplatają jej szyję. Gładka, dziecięca buzia przywiera do policzka.

— Pani już nie płacze, pani Kryśku. (Od tego dnia zniknęła gdzieś forma „panna”). Pani nie płacze. Dorotka robi herbatę. Pani lubi herbatę? Prawda? Gorąca, fajną.

I dziewczynka nieczuła na wieczne siłkanie matki i ryki Lesia, który „coś bardzo chce”, zaczyna trzeć oczy, a w nich pojawiają się prawdziwe, szczerze łzy współczucia.

Dziewczyna i dziecko w nagłym odruchu przytulają się do siebie. Instynktownie szukają w sobie wzajemnie oparcia, ciepła... Wreszcie starsza opanowuje się, zapala światło, przemywa w miednicy bolące oczy. Wyciąga z podręcznej torby paczkę ciastek, kupiła je po drodze do kawiarni, myślała, że zrobią sobie w domu z Ryszardem „odswieżną ucztę”.

— Dorotko, patrz, przywiozłam je z Łodzi. Zaraz będzie przyjęcie. Będziesz moim gościem, zabawimy się w takie prawdziwe panie. To będzie naprawdę bardzo wesoła zabawa.

Tłumione łkanie przerywa czasem „przyjęcie”, panie są godne, sztywne. Bywa, że gospodyni zamyślona po trzy razy jest przez „gościa” pytana o jedną sprawę. Dorotka stara się naśladować manipulacje Kryśki łyżeczką w czekoladowej babce. Je wolno pohamowując dziecinne łakomstwo. Nad stołem kołysze się kwiat begonii, od pani Łanowskiej. Drobne, różowe kwiatki na wóchatych łodyżkach, fantastycznie rozmieszczone w glinianym dzbanie, przypominają nieco egzotyczną, japońską ikebana. Kryśka niebźmiśnie gniecie kwiatki — serduszka.

TERESA GABRYSIEWICZ — KRZYSZTOFIKOWA

# DROGA W SIEBIE

(FRAGMENT POWIEŚCI)

wający białą koszulę i zębów. Elegancją, zręcznością poruszania się, umiejętnością nawiązywania kontaktów z otoczeniem.

Nieco speszona podnoszą na duchu znajome twarze wokół. Przyjaźnie uśmiecha się historyczka, pani Barczyńska. Mecenasa Sarski, przyjaciel rodziców, porywa Kryśkę do posuwistego tanga. Czy Kryśka się zdaje, czy naprawdę tańczy z panem Sarskim wywiera na Ryszardzie bardzo korzystne wrażenie. Czuje, że temperatura z jego strony wzrasta o ileś tam stopni. Partner pochyla się do niej częściej i głębiej. Oczy Ryszarda szukają jej oczu, ręka jego w tańcu przesuwają się delikatną pieczęcią po barku dziewczyny. Oszałamia ją ciepło tego dotyku.

Pod wpływem odczuwanego zainteresowania ożywia się, rozkwita, pięknieje. Czuje to Ryszard, zwracają się w jej stronę oczy innych tancerzy. Coraz częściej ktoś pochyla się przed Kryśką, proszą Ryszarda o jeden, chociaż jeden taniec z nią.

W pewnej chwili Ryś unosi do góry lewą brew i z nie ukrywaniem rozdrażnieniem zamawia już wyłącznie dla siebie na resztę tańców.

To jest jej mały, kobiecy triumf. Lekko jej odmówić innym tancerzom. Tworzą ładną, dobraną parę. Dobrze im ze sobą. I choć myli się Kryśka w jakimś momencie rytm nowego tańca, rodem z Afryki, czy może Broadwayu, noc jest cudowna.

Bal. Właściwie tak jak suknie, pierwszy naprawdę elegancki, mimo braku szampa, fraków i karnetów. Jak bywa zazwyczaj, nastrój odświeżenia, muzyka, skromna ale nowa oprawa wokół towarzyski, zbliżyły młodych do siebie.

Dziewczyna bardzo nieśmiało zaczyna myśleć, że to miłość, że może nie będzie ona epizodem. Wspomnieniem, po upływie iluś lat. Zaczyna trzeźwiej oceniać siebie, ostatecznie u licha jej właśnie nie brakuje inteligencji, uczciwie pracuje na chleb, nie jest może pięknością, ale i nie pokraką. Wzrok tancerzy mówił tak

Wiedziała, że często błyska po dyktando odrobina zapamiętanych wiadomości.

Ryszard tego nie wyczuwał — jej powściągliwości, niechęci w popisaniu się — specjalnie tak często prowadził rozmowę, że aby nie być niegrzeczną, musiała zabrać głos, wykazując pewną znajomość danego przedmiotu.

Wieczory Łęgowa, jedynie życie Klubu odróżniało od wiejskich. Dlatego może Kryśka tak wiele wybacała, tak starała się patrzeć przez palce i tak wysoko ceniła czas spędzony z Ryszardem. Oczekiwała jego przyjaźni z trudem ukrywana niecierpliwością. Biegła do drzwi za każdym totem okienicy, czy skrzypieniem starej furki. Dni bez Ryśka traciły koloryt. Sama nie rozumiała, jak można kochać widząc tyle braków w ideale, a jednak kochała coraz mocniej i coraz rozpaczlwiej, panicznie lekając się utraty złudnego szczęścia.

Nowym węzłem, który według przypuszczeń Kryśki miał zacieśnić ich znajomość, to wesele Anetki, koleżanki, na które została zaproszona oboje. Karnawał śnieżył pejzażem z zagranicznej pocztówki, czy przedwojennego, hollywoodzkiego filmu, panna młoda w długiej sukni i ogoniatym welonie dopełniała obrazu bieli i odświeżności.

Kryśka przytulona w saniach do Ryszarda czuła się szczęśliwa niemal jak oblubienica. Na moment zapomniała o wszystkich grzytach. Chłopak wyglądał wytwornie, zachowywał się czule. Któż ostatecznie nie ma wad? Bagatelizowała w tej chwili wszystkie pozy i fałszywe sylwestry Ryszarda. Zmienił go, bo przeżył miłość wszystko potrafi zmienić.

Ta chwila musi zostać w pamięci nie skażona najmniejszą rozterką. Po weselu Anetki zaprosi Ryśka do Snopisk. Aż dziw, że tak długo zwlekała z decyzją.

Kryśka niestety zdaje sobie sprawę, że snobizm jej ukochanego usatysfakcjonują stare obrazy i meble

Pociesza się, że w przyszłości, za własne zarobione pieniądze kupi sobie i ciepłe palto, i przyzwolite, sznurowane buty.

Teraz mkną ośnieżoną ulicą ku kościolowi, nie ma więc co roztrząsać niepotrzebnych historii.

A jednak nie pisane było Ryszardowi obejrzenie owych „Kossaków”. Wielka miłość Kryśki doznała klęski.

Kto by przypuszczał, że powodem rozstania może stać się tak prozaiczny przedmiot, jak sfałtgowane obuwie.

Kryśka ciągle z entuzjazmem wspominającą wyjazd do operetki, równie radośnie przyjęła nową propozycję Ryszarda. Pojadą razem do Łodzi. Właściwie służbowo. Ryśek ma coś załatwić w zjednoczeniu, czy jak tam się jego wojewódzkie władze nazywają, a ona ma akurat w tym dniu kilkugodzinną odprawę polonistów w Zgierzu. Ileż znaczy jednak takie słowo — razem.

Ubrała się na ten wyjazd z przemyśleniem, naprawdę najlepiej jak mogła. Zima to niezbyt sprzyjająca pora roku dla ukrycia biedy, no powiedzmy delikatniej — niedostatku. Palcina już nicowana, na głowie beczek popielaty, skromny, ujdzie jednak przy puszystych, ciemnych włosach. Tylko te bucinny... No tak, tu już nic nie da się ukryć. Pęknięcia na nosku nie załata najlepszy szewc, a fason pantofla pamięta młodość mamy.

Co tam zresztą buty wobec miłości. Spotkali się po południu w kawiarence. Ryszard jak zwykle ubrany był dobrze, harmonizował doskonale z nowoczesnym wnętrzem lokalu. Sweter z golfem, ozdobiony norweskimi wzorem, marynarka z grubej, modnej jodełki, narciarki z białym szyciem, ciche marzenie Kryśki. W szatni oczekuje go porządna kurtka na kożuchu. Pan inżynier na delegacji nie musi oszczędzać na sobie.

Do dziś Kryśka nie miała najmniejszego urazu na punkcie stroju. Starala się realizować w życiu sokra-

## POEZJA

### TADEUSZ GICGIER APOSTROFA

Nawyki do rozstań  
opuściłem cię  
choć może opuszczać nie powinienem.  
Czy nie uczyniłem tego zbyt pochopnie?  
Nie była to tylko potrzeba zmiany,  
nie wiesz o tym,  
lecz oż z tego,  
że wybaczysz mi w swej wyrozumiałości,  
kiedy ja nie wybaczę sobie.

Ziemia tu piękna,  
lecz ta, która na niej wyrosła, roślinna  
wąta jest i bezpłciowa,  
gdzie jej do tego chropowatego pnia,  
który twarzą pośród twych murów  
miasto moje-niemoje.



### JAN JUSZCZYK PRZEMIANY

Spójrz, proszę cicho, ręko moja  
dotyku zmieszam uzbrojona

Na ten Kapitol, Termy, Forum  
Ruiny czasu. Oto Roma.

Bez tarczy, orłów, legionów.  
Czas zabił konie i rydwany.

Odeszli augur i pontifex  
z klepsydry czas się już nie syple.

Umilknął w pieśni mąż Horacy  
i zasnął mocno zwłędły Tacyt.

Tylko nad Tybrem pajak przemian  
snuje swój epos w próchnie ziemi.

Dalszy ciąg ze str. 1

Przy ulicy Bratysławskiej i Oszecepowej ma swą krańcówkę 19-tka. Z tego miejsca rozpoczynał się reperski zwiad po okolicy. Wokół stoją bloki pięć-, dziesięcio-, jedenastopiętrowe, a tu w centrum tramwajowej pętli jeszcze żyje swym dawnym życiem jednopiętrowy domek, zbudowany z poczerpanej cegły, z małymi okienkami, które wychodzą wprost na rozgrodzone podwórko i rząd niskich komórek. „Ostatni Mohikanin” ze starej ulicy! Do okien domu zaglądały trzy brzozy. Jedną z nich jest szczególnie urodziwa. Wystąpiła ponad swe słabsze siostry i szeroko rozkłada koronę obsypaną już drobnymi wiosennymi liśćmi. Jaki los czeka te brzozy, gdy lokatorzy będą musieli opuścić czerwony dom? Może zostaną, by zdołać skwer w centrum pętli...

Wiele lat temu opisywano w prasie łódzkiej zdarzenie związane właśnie z taką brzozą, rosnącą przy domku przeznaczonym do rozbioru. Na Zabieńcu, jeśli mnie pamięć nie myli, wymierzano wtedy grunty pod nowoczesną fabrykę. Pewnego dnia przyszedł do inżynierów właściciel starej rudery. Nie chciał zgodzić się w żaden sposób na wycięcie brzozy. Na wysiedlenie i zburzenie domu godził się; na brzozę — nie. Rosta od lat jego młodości, to i rósł będzie! Nawet podobno groził, że stanie przy niej z siekierą... I nie dlatego, że kochał zieleń. Po prostu ta brzoza ratowała mu życie, kiedy chorował na płuca. Pił sok z niej splotyjący, bo tak mu poradzono. Więc dlatego chciał ją ocalić, chciał zatrzymać koparkę i spychacz. Inżynierowie mówili mu: — Tu, gdzie stanie nowa fabryka, ludzie zapracują sobie na chleb. Dostaną nowe mieszkania. Jedną starą brzozę ma im to odebrać?

W końcu drzewo padło pod ciosami toporów, ustąpiło miejsca nowemu krajobrazowi. Właściciel brzozy przeniósł się z jednoizbowej klitki do czteroizbowego mieszkania w bloku. Lecz jeszcze długo z żalem usiłował opowiadać ludziom o okrutnych inżynierach, którzy kazali ścinać drzewo. Zaś nowi mieszkańcy Zabieńca wruszyli ramionami:

— O jakiej brzozie on mówi?

Nie wiem, czy opowiedziałem dokładnie to odległe zdarzenie, może coś w nim poprzeminałem. Z całą pewnością dotyczyło białokornej brzożki wrosniętej korzeniami w tę ziemię, której stary krajobraz zastępujemy nowym. Wędruję teraz po nim „uzbrojony” w trzy mapy. Te mapy (plany) są mi niezbędne, ponieważ nie jestem — jak zwykli — wyrażać się łódzianin — „tutejszym rodakiem”. Nie orientuję się zbyt dobrze w topografii tego, ongiś przedmieścia, a dzisiaj już integralnej części wielkiego miasta. Chociaż mieszkam w Łodzi 30 lat nie mogę się pochwalić znajomością wszystkich dzielnic, a zwłaszcza tych nowych, wyrastających nie wiadomo kiedy, jak grzyby po deszczu. Jestem zresztą przekonany, że również osiadli z dziada pradziada łódzianie nie znają dokładnie swego miasta; tego nowego miasta. A już z całą pewnością można to stwierdzić odnieść do pokolenia z powojennego 30-lecia. I nie ma w tym niczego złego. Jak je — to znaczy — to miasto znać, skoro od paru-nastu lat coraz częściej łapiemy się na tym, że właściwie jest ono już całkiem innym miastem. Zwłaszcza na dawnych obrzeżach, na peryferiach. Chociażby taka Retkinia, po której teraz spaceruje, próbując zarejestrować kilka drobnych spostrzeżeń i drobnych refleksji. Raz po raz muszę przy tym zerkać na mapy.

Moja wieź o przeszłości miasta czerpałem w dużej mierze z lektury, a ta, gdy chodzi o przykład o taką Retkinie i w ogóle o dawne przedmieścia, jest nader skąpa. Bo o czym tu było pisać? O tej zapadłej wsi, którą od wielkiej aglomeracji odcięła kiedyś granica?

Niewiele także odnajdzie się w nowszych kronikach. Drobne wzmianki, strzępy wspomnień, jednozdaniowe stwierdzenia, że tutaj rodził się ruch oporu w latach okupacji... A przecież ma Retkinia i swego rodowitego bo-

hatera, którego imię utrwalało w nazwie ulicy (opodal zieleńca, który zdołał sławnie retkińskie żurawie) i w imieniu zakładu pracy na pobliskim Karolewie. Leon Koczaski, zastępca działacza ruchu robotniczego i okupacyjnej konspiracji lewicowej, urodził się tutaj na rok przed wybuchem I wojny światowej. Rewolucyjna atmosfera robotniczych domków, ciasnych, dusznych, bez kanalizacji, ze studniami w podwórkach, kształtowała jego świadomość polityczną i społeczną. Współorganizator podziemnej organizacji „Front Walki za Naszą i Waszą Wolność”, a także współtwórca Grup Sabotażowych, dobrze

ludzkiej pamięci takie pojęcia jak Retkinia Mała Kolonia, Długa Kolonia, Retkinia Zagrodniaki (tuż za kościołem, opodal pętli 8-ki i 20-ki, pomiędzy starymi domkami przeciska się ulica o tej nazwie), a dalej Retkinia Karcz, Retkinia Działy, no i już wspomniane Piaski oraz Brzożki. Jak widać, motyw drzew o drobnych siedynowych liściach i białej korze, pojawia się w retkińskim krajobrazie od dawna.

Te różne przysiółki dzieliła, jakby na dwie równe części, jedyna solidniejsza droga zwana Retkińską (ta nazwa zachowała się do dzisiaj), która swój bieg kończyła przy kościele.

## BRZOZY ZAZIELENIA, SIĘ, ZNOWU...



Foto: W. Parys

znali robotnicy z retkińskich domków. Zanim nie wyjechał na Ziemię Kielecką, skąd nigdy już nie miał powrócić do rodzinnego miasta, przemierzał prawie co dzień wąskie uliczki przedmieścia — wsi. Jakże inne są one dzisiaj...

Na starym planie, solidnie sfatygowanym, bo liczącym sobie prawie 40 lat, tuż przy ulicach Maratońskiej, Trójskiej i Narciarskiej, przebiegały w czasach przedwojennych granice miasta. Za Rokicem Starym ciągnęły się już pola i zabudowania wsi Retkinia Piaski. Od północy przylegała ona do Retkini Folwarku, od zachodu łączyła się ze wsią Retkinia Brzożki. Nazwy te figurują jeszcze na powojennej mapie z roku 1956. Poznikały dopiero z najnowszego planu miasta. Zapewne zatarty się i w

Teraz mają tutaj swą krańcówkę tramwaje, a od niedawnego czasu, jak już wspomniano kilkanaście bloków po lewej stronie ulicy i kiedy zaroiło się w nich od tysięcy nowych mieszkańców, na Retkinię wjechały także miejskie autobusy: zwykłe i pospieszne.

Stąd i nie tylko z tego miejsca rozchodził się przed laty malowniczy widok, wiosną i latem, na ogródki ze skarlałymi czereśniami, jabłkami i śliwkami, na pola i na nasyp kolejowy, po którym z rzadka sunęły pociągi z Łodzi Kaliskiej w kierunku Zduńskiej Woli i odwrotnie. Ciemnym z parowozów zasnawał ten sielski krajobraz. Teraz przebiegają tędy najczęstsze pociągi ciągnięte przez elektrowozy. Pod nowiutkim wiaduktem, wokół którego i na którym trwa-

ją jeszcze prace wykończeniowe, asfaltową jezdnią mknąć będą już wkrótce samochody. Małe, przeważnie drewniane, parterowe domki, które niby egzotyczna wysępka przylatują się jeszcze do ulicy Trójskiej, wtapiały się w ten dawny wiejski pejzaż odrębnego skrawka ziemi, dzisiaj wchłoniętego już przez wielkie miasto.

Kiedy teraz patrzę na to tętniące życiem osiedle, które faktycznie jest miastem na polach dawnej wsi, przypominam sobie jak to — bodaj że piętnaście lat temu, rodził się zbiór reportaży pt. „Ucieczka przedmieścia”, jak dotąd jedyny tego rodzaju dokument o Łodzi powojennej. Inicjatorem tego arcyciekawego pomysłu na opisanie ówczesnego miasta był tygodnik „Odgłosy”. Rozbiegli się więc reporterzy „na wszystkie strony świata” i co zauważyli — opisali. W początkach lat sześćdziesiątych „nowy kształt miasta zarysował się wyraźnie, skryształowała się i w pewnej mierze została już zrealizowana nowa koncepcja urbanistyczna”. Było o czym pisać. Wszyscy reporterzy stwierdzili wówczas zgodnie, że przed tą urbanizacją daremnie próbują uciekać przedmieścia. Czy wcześniej, czy później miasto je dopadnie.

Mieli rację, bo miasto je dopadło, objęło ramionami. W swej ekspansji poszło nawet dalej. Ale tego już nie odnotowano w kolejnym tomie reportaży. Nie powtórzono takiej drugiej próby na opisanie Łodzi, Szkoda... Ucieczka przedmieścia jest teraz ogromnie odległą historią. Dawne wioski Retkinia Piaski i Zagrodniaki utrwalone zostały w nazwach ulic, wzdłuż których stoją już lub niebawem staną kilkupiętrowe bloki mieszkalne. Jeszcze wzdłuż prawej strony Retkińskiej ciągnie się pas ogrodów i ogródków otaczających drewniak lub mury parterówki, jeszcze przy wąskich uliczkach: Balonowej, Jachtowej, Dyskowej zobaczyć można stodoły i jakieś szopy kryte słomą, ale już i do nich zbliżają się ramiona potężnych żurawi dźwigających wielkie płyty ścian na wysokość dziesięciu pięter. Od ulicy Retkińskiej dzieli je 200, może 300 metrów. Okazuje się, że dzień dzisiejszy trzeba szybko zapisać. Jutro jest często już za późno.

Spoglądam znowu na plany miasta; na ten stary sprzed 40 lat i na ten najnowszy. Przed wojną, w trójkącie pomiędzy torem kolejowym od południowego wschodu, od zachodu pomiędzy ulicą Nad Karolewską, a od północy ulicą Kątną (obecnie Wróblewskiego) skupiły się cztery niedugie uliczki: Maratońska, Trójska, Narciarska i Wioślarska. Skąd właśnie tutaj, skoro do stadionu „ŁKS” jest dosyć daleko, nie wiem. Jaka by zresztą nie była geneza tych nazw, pasują one doskonale do tych nowych bloków, które rozsiadły się na dawnych działkach, na żytych polach i łąkach. Mówi się, że sport to teżżna, wycieczka, a przede wszystkim młodzież. Mają więc w sobie coś z symbolu te nazwy tutejszych nowych ulic: Oszecepowa, Zapasnicza, Przelajowa, Gimnastyczna, Rakietowa, Hokejowa, przemyskających pomiędzy blokami daleko, daleko od swych przedwojennych imienniczek. W ich nazwach zamknięto młodzież tej nowej Retkini, a przede wszystkim — mówiąc po sportowemu — wycieczki, jakim jest wznieślenie tej dzielnicy w rekordowo szybkim czasie.

Przed piętnastu laty, kiedy reporterzy opisywali miasto, nikt z nich nie penetrował Retkini. Najdalej w tym kierunku zawędrował S. Koziecki. Przy okazji reportażu z Karolewa wspominał o niej dosłownie w dwóch zdaniach:

„Na mapie [Karolew] wygląda jak polip. Wyciąga maćki we wszystkie strony. (...) Na południu wtapia się w małe domki wśród ogródków i w pola badyralczy ze wsi Retkinia; przecięta czarna krechą linii kolejowej, dotyka Dworca Kaliskiego i sunie wąskim pasmem jednej tylko ulicy dalej, aż po drewniane jednopiętrowe domy. (...) Z jednej strony Retkinia ciągnie do wielkiego miasta przez Karolew, z drugiej — wielkie miasto ciągnie do Karolewa: fabrykami, czynszówkami, blokami kolorowych osiedli. Karolew nie jest jednolity, bo go właściwie wciąż jeszcze nie ma, dopiero powstaje” — konkludował wtedy reportażysta.

Patrzę teraz na te rzędy bloków, na to nowe miasto. Niekiedy wielkopłytowe bryły aż przytaczają swoim ogromem, nic przeto dziwnego, że mówimy na nie „mrówkowce, rojowniki, ulce...” I tak sobie myślę, że trzeba będzie znowu szybko robić nowe mapy miasta. Wszystkie one, nawet te sprzed trzech lat, już są w dużej mierze nieaktualne. Nie tylko zresztą w odniesieniu do Retkini. Taki bowiem jest ten współczesny krajobraz naszej ziemi. Potrafimy go zmieniać i to bardzo szybko, bo tego wymaga życie, ale też umiemy nadawać mu nowy i piękniejszy kształt. I może właśnie dlatego tak lubimy przystawać w miejscach, gdzie wjeżdżają spychacze lub koparki i gapić się na ich pracę. A brzozy, które czasem padną przy tej okazji pod ciosami toporów? Te wyrosną w innych miejscach, ozdabiając zielenią zupełnie już nowy pejzaż.



## „PONIEWAŻ USTALIŁEM JUŻ DATĘ WŁASNEGO POGREZBU...”

Dalszy ciąg ze str. 1

Do redakcji nadchodzi wiele listów. Część z nich ukazuje się na naszych łamach w rubryce: „LISTY”. Inne? Z innymi bywa różnie. Oto np. młody człowiek donosi redakcji, że zakochał się w... fotografowaniu i domaga się w związku z tym, aby przyjąć go do pracy, bo on chce być... fotoreporterem. Jedynymi argumentami przemawiającymi za owym żądaniem jest jego miłość do fotografowania oraz fakt posiadania aparatu fotograficznego.

Bywają listy śmieszne, protestujące, żartobliwe, gratulacyjne, ganiące. Ot, po prostu ludzie reagują na to, co ukazuje się na łamach pisma. Zdarzają się listy, w których autorzy proszą o interwencję, o pomoc, o radę, zadają pytania lub tylko informują o swoich przemysleniach, opiniach. Ten list, o którym chcę pisać, był zupełnie inny.

Przyszedł w zwykłej niebieskiej kopercie. Adresowany był do redakcji, ale adresat nie chciał ujawnić się na odwrocie koperty. W środku były dwie, nieponumerowane kartki kratkowanego papieru. List zaczynał się słowami: „Panie Redaktorze”. Tak jak to zwykle pisze się list do któregoś z redaktorów, bo listy do redakcji tytułuje się zwykle „Droga Redakcjo”. No i zupełnie niecodzienna treść. Podaje ją w pełnym brzmieniu, tak, jak to napisał autor tego anonimowego listu.

„Panie Redaktorze

Ponieważ ustaliłem już datę swojego własnego pogrzebu, chciałbym, by mój list stał się ostrzeżeniem dla wielu młodych ludzi, kroczących w życiu drogą, która mnie przypadła w udziale, a wiem dobrze, że jest ich wielu. Może pomogę im spojrzeć na siebie obiektywnie, bo tylko obiektywizm może ich uratować. Z mojego kręgu znajomych już sześć osób na przestrzeni kilku lat odebrało sobie życie stając w ślepiem żałku, z którego już wyjść nie mieli siły. Ja będę siódmym. Jeżeli oczywiście ktoś w tej ponurej kolejce mnie nie uprzedzi. Mam teraz dwadzieścia osiem lat. Moi rówieśnicy osiągnęli w życiu satysfakcję własnej przydatności. Ja mam chore nerki, zniszczoną wątrobę i nerwy, trzęsące się ręce i nie, co mógłbym nazwać osiągnięciem. Nie pamiętam teraz od jakiego momentu zacząłem pić wódkę. Miałem chyba czternaście lat. Towarzystwo wspólnych pijatyk byli grubo starsi, mieli samochody, nabite forsa portfele. Oni to nazywali robotników „szczurami”, a uczących się „mułami”. W myśl ich dewizy życiowej świat dzielił się na muły i poganiacze. Bardzo pragnąłem być poganiaczem. Po diabła ciulał grosz do grosza, kiedy można mieć wszystko od reki? W wieku lat osiemnastu byłem już niezłym cwaniakiem znającym kursy walut, ceny złota, technikę naciągania i wódkę. Ciągła obawa przed wpadką niszczyła mi nerwy. Alkohol przywracał pewność siebie, której w gruncie rzeczy nigdy nie miałem, podobnie jak i moi idole. Dziś za nic w świecie nie potrafiłbym wymienić (poza dwiema przerwanymi) choć jednego dnia bez picia, jednego ranka bez kaca. Gdy pewnego dnia zrozumiałem, w jakim jestem bagnie, było już za późno. Postanowiłem jednak nie dać się. Poszedłem do pracy, zacząłem się uczyć, czytać, odchodzić. Nic z tego. Silnie zakorzeniony brak obowiązkowości, brak silnej woli i wódka wygrały. By trzymać się w fachu cwaniaczka trzeba być na bieżąco wszystkich machinacji, a ja już wypadłem z kursu. Musiałem pić, a że to kosztuje, potrzebowałem pieniędzy. Drobne kanciarstwa nie zaspokajały „potrzeb”. Zaczęłem sprzedawać wszystko, co miałem pod ręką. Zdałem sobie sprawę, że ma to swoje granice, lecz uciśnięte resztki sumienia hasłem „jakoś to będzie”, albo „jutro będzie lepiej”. Tymczasem jutro było identyczne jak wczoraj. Stworzyłem sobie własne „ja”, niby męskie, mocne, stworzyłem mit o sobie i własnym „tumiwizmie”, a w rzeczywistości byłem płaskim, głupim bydlątkiem, tchórzliwym i drańskim. W ten mit wierzyłem wówczas tylko, gdy byłem „na gazie”. Latem więc wódkę rzadko, a najczęściej tanie bełty — w siebie. Ten eliksir odwagi, płyn dla dumistów. Zjechałem pod budki z piwem, do melin pijackich. Wtedy właśnie zakochałem się po raz pierwszy w dziewczynie kończącej studia. Postanowiłem jeszcze raz podnieść się, czuć się potrzebnym Odkryłem w sobie, gdzieś na dnie schowane przed własną świadomością, resztki dobra. Po pół roku byłem już inny.

Dalszy ciąg na str. 6

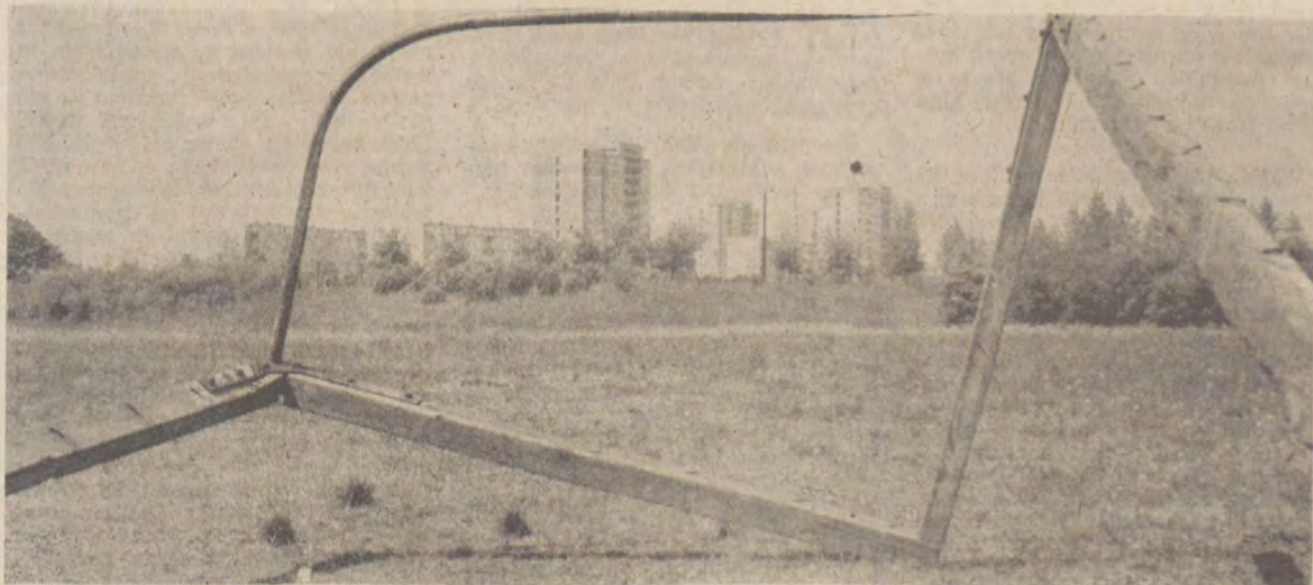


Foto: W. Parys

TADEUSZ SZEWEA

?

# „PONIEWAŻ USTALIŁEM JUŻ DATĘ WŁASNEGO POGRZEBU...”

Dalszy ciąg ze str. 5

Dzień wypełniała mi praca, kluby amatorskie, rysunek, pisanie. Organizowałem imprezy artystyczne w miejscu pracy, wygrzebywałem pijacków dając im do ręki książkę, instrument, czy scenkę teatralną. To, co pracowicie budowałem przez osiem miesięcy, runęło jak domek z kart w przeciągu tygodnia. Przeszłość wróciła jak bumerang. W kilka dni przepilem meble i ubrania. Następne lata to już było dno. Piłem wodę fryzjerską, brzożową i wszystkie płyny, które zawierały alkohol. Wyglądałem po nieudanym samobójstwie w szpitalu psychiatrycznym. Długo tam nie byłem, a po powrocie nic się nie zmieniło. W tamtym roku poznałem dziewczynę dużo młodszą ode mnie, bezgranicznie zagubioną w sprzecznościach. Zaprzagnąłem jej pomoc. Uważałem się za doświadczonego, znającego życie. Pokochałem ją bardzo, za bardzo, abym mógł zrozumieć, że wyrzadam jej krzywdę. Wreszcie, po roku, dziewczyna odeszła, choć wiem, że nadal mnie kocha. Zostały mi gołe ściany, kilkadziesiąt tysięcy złotych długu, jeden wyrok sądowy w zawieszeniu, czekająca następna rozprawa, mieszkanie „na wylocie” i cholerna pustka za sobą i przed sobą. Świadomość własnej nicości. Od kilkunastu dni nie piję. Zrobiłem rachunek sumienia, rozważyłem szanse ponownego startu i doszedłem do wniosku, że już nie dam rady, że już jest za późno. Zlekceważyłem w życiu to, co najważniejsze — szacunek dla pracy, dla drugiego człowieka, dla wszystkich podstawowych wartości, z jakich składa się życie. Termin mojej drugiej rozprawy sądowej będzie dniem mojej śmierci. Jeśli ktoś czytając mój list rozpoczyna w nim siebie, to błagam go — niech oprzytomnieje. Na dwóch łódkach cmentarzach leży czterech moich kolegów i dwie koleżanki. Musieli odejść, choć mogli tyle zrobić, tyle dać z siebie dobrego, lecz nie pojeśli w porę jak i ja — bezsensu swojego życia, nie rozumieli, że nie można uciec przed odpowiedzialnością, a nie mieli siły jej dźwigać.

Andrzej

Bywają w życiu sytuacje, kiedy jedynym wyjściem jest milczenie. W ostatnim telewizyjnym programie „Progi i bariery” wystąpiła kobieta i opowiedziała o sobie i swoim mężu — człowiekowi dotkniętym ciężką chorobą, który jednak nie zrezygnował z czynnego życia, a ona — kierowana miłością — pomagała mu w tym. Jak nakazują „zasady gry” telewizyjnego programu, każdy, kto w nim uczestniczy ma prawo zażądać wypowiedzi jednego z jurorów. Owa kobieta poprosiła o wypowiedź Szymona Kobyliańskiego, ale on przyznał, że może tylko milczeć. I tym powiedział więcej niż mógłby to wyrazić najpiękniej dobranymi słowami.

Ale bywają też w życiu sytuacje, kiedy jedynym wyjściem jest milczenie i kiedy mimo to nie można mil-

czeć. Taką właśnie sytuację stworzył autor cytowanego listu — ANDRZEJ.

Na początku myśleliśmy, że to po prostu żart. Albo zakład zawiedzionego poety czy debiutującego prozaika, który nie mogąc doczekać się druku swojej twórczości, postanowił — jak to się mówi — „zażyć redakcję z małki”. Taki list muszą wydrukować — pomyślał — i tak wyjdzie na moje! List nosi znamiona literackich skłonności ANDRZEJA. Ale czy jest autentycznym wyznaniem? Czy może tylko wyrazem literackich zdolności do przejawiania? Konstruowania fikcyjnych sytuacji? Bo gdyby się dobrze zastanowił, to w liście występuje dwóch bohaterów: ten pierwszy, który zmarował swoje życie, nic w nim nie osiągnąwszy poza dwoma wyrokami, i ten drugi, który to wszystko przemyślał, przeanalizował, oenił, przewartościował, rozszedł i podał „Panu Redaktorowi” do wiadomości, licząc tym samym, że świat się o tym dowie. List jest jakby lewicy zaczętym opowiadaniem. ANDRZEJ zrobił początek i zostawił miejsce na ciąg dalszy. Tylko kto ten dalszy ciąg napisze? Samo życie? Ja nie mam ochoty na taką „zabawę”. Dla mnie ten list jest bowiem tylko i wyłącznie przykładem egoistycznej i wrednej postawy życiowej.

Można byłoby pójść w kierunku płaskiego moralizowania. Można byłoby wołać: „ANDRZEJ, opamiętaj się! Co chcesz zrobić? Tak nie można!” Ale ANDRZEJ nie na to czeka. Nie tego się spodziewa. Jego list jest kpina skrajnego egoisty, który wszystkim i wszystko ma gdzieś... „Ponieważ ustaliłem już datę własnego pogrzebu...” — reszta będzie milczeniem, ale nim to się stanie, ANDRZEJ nie zapomnił powiedzieć o tym cały świat: Oto odchodzę od was! Oto odchodzę od nas ten, który nie potrafił żyć, ale który odkrył w sobie „gdzieś na dnie schowane przed własną świadomością reszki dobra”. I teraz na odchodnym postanowił jeszcze raz z nich skorzystać, aby zbawić świat. W chwili ostatecznej decyzji przestrzega innych: „Niech oprzytomnieją”. A tym samym zdaje się wołać: „Patrzcie, jaki jestem wspaniały!”

Skrajny egocentryzm tego listu wyłazi jak przysłowowe sztyco z worka. W każdym niemal słowie i zdaniu. Ale nie budzi to ani litości, ani podziwu. Raczej niesmak. I refleksje: czy ANDRZEJ nie powinien odpokutować za głupotę, odsiedzieć przykładnie wyrok, odczytać się pisać, nauczyć zawodu i spróbować wrócić do normalnego życia? A nie krygować się: „Ponieważ ustaliłem już datę własnego pogrzebu...” — to podziwianie moją odwagę i uczcie się, jak należy przegrywać.

Może rzeczywiście należało milczeć i — jak radzili niektórzy — schować list do teckizy z napisem: „LISTY”. Ale nie! Koło takiej postawy, jaką zaprezentował ANDRZEJ, nie można przejść obojętnie. Nie wolno, mimo, że budzi ona tylko niesmak.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Foto: W. Paris

## TEATR

Zanim jeszcze rozpałała się do białości festiwalowa gorączka, braliśmy udział w przygotowaniach jednego z teatrów studenckich. Wiele tygodni prób, morderczej, codziennej pracy, do godziny drugiej i trzeciej w nocy. Rozognione dyskusje, teksty śniące się po nocach, zmęczenie i towarzysząca temu wszystkiemu świadomość, że ma się coś ważnego do powiedzenia sobie i innym. Niektórzy nazywali to pasją „robienia” teatru. Piszemy o tym dlatego, że w świetle festiwalowych reflektorów, kuluarowych rozmów i werdyktów jury, nikt o tym nie wspomni — ważne będą tylko efekty. No więc właśnie — czy tylko?

MAREK MILLER  
ALICJA SARNAT

# FESTIWAL BEZ GRAND PRIX

W regulaminie tegorocznych spotkań teatralnych czytamy:

„Idea XII ŁST jest prezentacja najważniejszych przedstawień teatru studenckiego, zrealizowanych od stycznia 1975 roku. XII ŁST mają charakter otwarty; biorą w nich udział również zaproszone „inne” zespoły amatorskie i grupy profesjonalne (...) Jesteśmy młodzi i otwarci. Takie powinny być nasze spotkania, jacy jesteśmy”.

Więc, jacy jesteśmy?

Tak szeroko rozumiana formuła festiwalu spowodowała zestawienie obok siebie zjawisk bardzo zróżnicowanych zarówno pod względem wartości artystycznych, jak i kierunków twórczych poszukiwań. I tak, obok uznanych teatrów, tj. Pleonazmusa, Teatru 77, Teatru 8 Dnia, znalazły się amatorskie zespoły z Legnicy, Gorzowa Wielkopolskiego i Teatru 100 Krzesel z Łodzi. Obok zaproszonych gości z zagranicy: Teatru Studio z Tbilisi i Bradford University Drama Group z Wielkiej Brytanii, występował Marek Walczewski z monodramem pt. „Pamiętnik wariata” i pokazywał swoje inicjacje Jerzy Beręś. Oczywiście nie sposób było zobaczyć wszystkiego, zwłaszcza, że do programu włączono wiele ciekawych imprez towarzyszących, że wspomniemy tylko: prezentacje filmów w Klubie „Na piętrze”, Żywa Galeria J. Robakowskiego i V Festiwal Teatru Otwartego.

Odpowiedź więc na pytanie, jacy jesteśmy, staje się trudna, jeżeli nie wręcz niemożliwa. Same teatry nie ułatwiają zadania. Wyjątkowa w tym roku bektolliwość, ucieczka w formalizm, metafory i głoszenie uniwersalnych prawd staje się w wielu wypadkach manierą nie do zniesienia. Nic więc dziwnego, że widzowie gremialnie opuszczają salę przed końcem spektaklu, jak stało się to w wypadku pokazu pt. Warsztat Akademii Ruchu z Warszawy.

Wyjątkowo korzystnie na tym tle zaprezentował się Teatr Kalambur z Wrocławia spektaklem pt. „Rozruch”. Do zakładów przyjeżdża redaktor z okazji rozruchu jednego z podstawowych działów mydlarni. Podejmowany jest przez zakładową klikę od dyrektora poczynając, a na magistrze socjologii kończąc. Po oficjalnych mowach i toastach rozpoczyna się zwyczajne pijaństwo. Taka jest kanwa spektaklu, a na jej podstawie zespół ukazał w sposób karykaturalny niektóre modele zachowań, typy, postawy. Ostrość spojrzenia, znakomite, niemal z życia wzięte, teksty, mocna jedyna satyra zdecydowały o powodzeniu spektaklu. Publiczność reagowała natychmiast nagradzając oklaskami każdą pointę i bawiąc się znakomicie, aż do końca.

Drugim wyróżniającym się zespołem był niewątpliwie Teatr 8 Dnia z Poznania ze spektaklem „Musimy



poprząstka na tym, co nazwano rajem na ziemi”. Pomijając metodę pracy zespołu, niewątpliwie zapożyczoną z teatru Jerzego Grotowskiego, imponuje niezwykła siła oddziaływania, jaka dysponuje. Widza wciąga atmosfera tego spektaklu, działająca może nie tyle na intelekt, ile na emocje i odczucia. W ascetycznej scenografii, a raczej wśród kilku rekwizytów: zardzewiałych blaszanych beczek, bańki i wanny przypominającej czołno, rozgrywa się dramat grupy: Jak ocalić siebie, zbiorowość w świecie zanikających wartości. W czym ich poszukiwać i jak je utrwać. W świetle zespalających się lamp i płonącej barykadzie zardzewiałego żelastwa, wychodzących widzów żegna szept aktora: „Nie dajcie się uspokoić... nie dajcie się uspokoić...”.

Spektakl się skończył; nerwowe zapalenie papierosów, przyciszone rozmowy — zasiane ziarno niepokojów.

Trzecim i chyba najbardziej interesującym wydarzeniem festiwalu stało się przedstawienie „Polityk” Teatru 77 Uniwariu z Łodzi. Ciągłe poszukiwania i eksperymenty stawiają ten teatr w czołówce krajowej. Należy tylko żałować, że z racji specyficznej struktury spektaklu, mogła go obejrzeć tylko nieliczna grupa widzów. Właśnie, widzowie! W tym wypadku nie była to sprawa prosta. Trudno tu mówić o widzach, należałoby raczej o uczestnikach zdarzenia.

W mieszkaniu prywatnym, za stolami obficie zastawionymi do biesi-

dy, zasiadli koryfeusze studenckiego ruchu teatralnego i jego działacze. Przy kawiarńskich lampkach, w atmosferze bankietu, aktorzy, w konwencji teatru poezji, mówili o tym, jak żyjemy.

W pewnym momencie do przyległego pomieszczenia, oddzielnego od sali bankietowej siatka, została wpuszczona druga część widzów, szara, anonimowa publiczność. Z tym, że widzowie ci mogli obserwować, co dzieje się za siatką, natomiast sami pozostawali niewidoczni. Tymczasem na sali bankietowej nastąpiła zmiana. Zniknął teatr poezji, wszedł pielgrzym, przywódca, nosiciel idei narodowego postanowienia. Rozpoczął się kolejny rozrachunek z tradycją, z mitem, walka o to, co było w nim istotne, grzebanie tego, co niepotrzebne, złe, nieprzydatne.

W scenie finałowej pielgrzym zrywa dzielącą obie grupy widzów siatkę, wypowiadając stłumionym głosem słowa: „Powiedzcie im, aby się kochali”. Bankiet — spektakl zostaje przerwany. Widzowie mieszają się. W ogólnym rozgardzaniu, jaki powstaje, wybuchają pojedynczo wszystkie. Jest to „Oda do młodości”.

Dziwny to teatr. I czy to tylko teatr? Gdzieś przecież jego granice z rzeczywistością pękają. O krok tu już od ucieczki z teatru a zajęcia się samym życiem.

Ale nie tylko spektaklami żył festiwal. Żył także famą. A fama głosiła, że należy koniecznie wejść do SPATIF-u na monodram Marka Walczewskiego „Pamiętnik wariata”. Cóż tam się nie działo! Jak dlotka głosi, niektórzy od następnego dnia zaczęli pisać własny pamiętnik. Żadny sensacyjny tłum szturmował wejście już na długo przed rozpoczęciem spektaklu. Ponieważ „bramkarze” pod jego naporem ustąpił z drzwi frontowych i oparli się dopiero na następnych, w maleńkiej przestrzeni zablokowana została spora część widzów — nie można było ani wejść, ani wyjść. Ścisł się nie do zniesienia. Nie wpuszczono ani tych, którzy mieli karnety specjalne, ani posiadaczy biletów — sala była już od dawna pełna. Ale nikt nie dawał za wygraną. Korzystali z tego różni paparacci, błyskali flesze, pomiędzy krzykami rozwałczonego tłumu stychać było terkot dwóch kamer. Spocony „bramkarz” rzycał: Puścieć moją dziewczynę, bo inaczej nikt nie wejdzie! Starza pani z biletami powtarzała płaczącym głosem: Ja już tylko chcę stąd wyjść... Ktoś mdał, kogoś wynosono. W środku, po sforsowaniu wszystkich przejść, usiedliśmy wreszcie. Na krześle obok chrapał zmorzony piwem jakiś osobnik. Na scenie Walczewski dawał z siebie wszystko.

Tacy także jesteśmy.

# TEATR

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

## TEMAT WSPÓŁCZESNY



wykładnikiem jego wiedzy o publiczności tego teatru. Świadczy o tym bardzo wymownie specyficzny dualizm humoru i zadumy odzwierciedlony poprzez widowiskową warstwę przedstawienia oraz filozofia, która tkwi głęboko w aktorstwie, zwłaszcza Romana Klosowskiego i Bronisława Wrocławskiego.

**ROMAN KŁOSOWSKI:** Co uwidło mnie w „Szwajku” J. Haszka? Temat, humor haszkowski, atmosfera starej CK Pragi, donkiszoteria bohatera, jego siła ludowej mądrości, refleksji, dowcipu? I to także, ale najbardziej Szwajk w ataku, Szwajk/myśliciel, ludowy filozof, mądry mądrością naszych czasów, bogaty w moje doświadczenia, także II wojny światowej.

„Szwajk” w Teatrze Powszechnym — to nie tylko Roman Klosowski i Bronisław Wrocławski, to także bogata panorama charakterów, postaw i typów, która w teatrze integralnym działa na równi z innymi komponentami spektaklu. Posiada on co prawda aspekt integracji, ale o filmowej strukturze, która ujawnia się dominantą obrazu, prezentując, także w tej warstwie, dualizm problemów i postaw filozoficznych.

**ROMAN KŁOSOWSKI:** Trzecią pozycją realizowaną w sezonie 1975/1976 jest sztuka G. Gorina „Zapomnieć o Herostratesie” w reżyserii Marka Okopińskiego.

W ubiegłym roku zaproponowałem w formule „czytanej” ten dramat w Teatrze Nowym w Warszawie, ale nie dla jego historycznego kostiumu, lecz, żeby „rozwiązać” współczesny problem: zbadać środki artystyczne, jakie jest mechanizm potwornych postępów, podyktowanych całkowitą pogardą w stosunku do wszystkich ludzi i niepomiernym wyolbrzymieniem swego „ja”. Interesowało mnie w sztuce G. Gorina nagle przewrót — wanie pojęć. Herostrates to nie pierwszy buntownik, lecz „pierwszy nadczłowiek, który utoruje sobie, że wszystko mu wolno”.

Bezspornym jest fakt, że sztuka G. Gorina posiada te wartości ideowe, których w wątpliwość poddać nie można. Odsłania bowiem mechanizm rodzenia się faszyzmu, dyktatury, nietolerancji i bezprawia.

Czy jednak kostium jest tu konieczny, aby ujawnić to, co ludziom jest tak dobrze znane, czego doświadczali bezpośrednio na sobie? Można jednak przyjąć, że ów kostium z 350 r. pne jest tylko teatralną konwencją. Jakże się tego konsekwencje — pojawienie się człowieka współczesnego, podparającego, komentującego, ale i ingerującego, nie w bieg rzeczy, lecz w postawy etyczne. I jakie są dalsze tego konsekwencje — tylko formalne — człowiek współczesny, to Człowiek Teatru, a więc teatr w teatrze — to wszystko „nie prawda, ale literacka fikcja, to nie pełnowymiarowe postaci, ale rezonerki, reprezentujący tylko moralne postawy”.

Są i dalsze tego konsekwencje, już czysto teatralne, polegające na zawężeniu interpretacyjnych. Dotyczy to przede wszystkim aktorów, którzy jednak znaleźli klucz do ułaskawienia opornej materii. Wraz z reżyserem, Markiem Okopińskim postanowili tragicomiczność przesunąć w kierunku komedowości i jej podporządkować treść interpretacyjną. Ujawniły się wówczas zupełnie nowe wartości utworu G. Gorina. Aleksander Fogiel jako Tiszafernes, władca Efezu mógł przejść od farsowości dobrodusznego staruszka do groźnego satrapy, choć nie pozbawionego nuty komicznej. Mógł zastosować rozległą gamę bogatych środków wyrazu. Od charakterystyczności do refleksyjnego dowcipu. Podobnie Halina Miller jako Klementyna, żona Tiszafernesa. Chociaż zabrakło w jej interpretacji wielotonalności, której zresztą nie ma i u G. Gorina. Ta, tak nośna, wielotonalność zabrzmiiała natomiast w roli Chryzypa (Tadeusz Sabara), którą aktor napenił charakterystycznością

wyrażoną intonacją, specyficzną komponowanym gestem, przerysowanym aż po groteskowość ruchem.

Komplikacje, w realizacji ogólnego założenia, ujawniły się dopiero w propozycjach Ireneusza Karamona (Herostrates), Mirosława Szonerta (Kleon, sędzia Efezu), Bronisława Wrocławskiego (Człowiek Teatru). O ile bowiem komizm był możliwy do uzyskania w konstruowaniu postaci Tiszafernesa, Klementyny i Chryzypa, o tyle w tym konkretnym wypadku stało się to niemożliwe. Kleon pozbawiony jest komizmu, reprezentuje nieprzejednaną postawę obrońcy demokracji i jest nosicielem idei, która przeciwstawia się antyhumanizmowi Herostratesa. Herostrates natomiast nie jest śmieśnawy, jest raczej groźny w swoim demagogicznym „nadczołowiecztwie”. A Człowiek Teatru — to jeden z widzów. „Pierwej jest się widzem, niż człowiekiem teatru i widzem pozostaje się przez całe życie”.

Reżyser, aby uniknąć niekonsekwencji, zderzył dwie krańcowo różne postawy: Kleona i Herostratesa. Rozgrywają oni między sobą walkę idei w świecie „bezideowej komiczności”. Było to nad wyraz trudne zadanie dla aktorów. Występując tu bowiem nie walczą ludzkimi namiętnościami, ale pojęć, przekazywanych werbalnie. Kleon Mirosława Szonerta zwyciężył tu podwójnie i jako idea, i jako propozycja aktorska. Osiągnął bogactwo tonów, wielobarwność ekspresyjną, podczas gdy jego sceniczny przeciwnik pozostał w jednotonności środków wyrazu artystycznego.

**ROMAN KŁOSOWSKI:** — Moje „myślenie teatrem” chce uzupełnić sztuką A. Kopkowa „Stoń”. Interesuje mnie w niej zagadnienie stosunku do własności społecznej, problem rodu — kształtowania nowej świadomości.

Czym jest sztuka G. Gorina „Zapomnieć o Herostratesie” w repertuarze Teatru Powszechnego? Jest kontynuacją idei tematu współczesnego, jest dowodem na potrzebę poszukiwań artystycznej terra incognita „powszechności” i „współczesności”.

**ROMAN KŁOSOWSKI:** — W podjętym niedawno temacie, który zrealizowałem poprzez „Czarną różę” J. Strykowski, interesowało mnie to wszystko, co streścić można w zdaniu refleksyjno-pytańcym: „Jak trudno być komunistą”. Temat ten chcę podjąć raz jeszcze, ale tym razem poprzez „Baldyna” Jerzego Putramenta.

Kto odkryje „nieznane ziemie”, leżące między „powszechnością” a „współczesnością”? Ludzie teatru poprzez poszukiwanie współczesnego tematu, czy też rozwiązania i propozycje formalne...?

**ROMAN KŁOSOWSKI:** — Zadawano mi już wielokrotnie pytanie: dlaczego reżyserzy filmowi u mnie w teatrze? Istotnie Janusz Zaorski („Szwajk”), Andrzej Kondratiuk („Stoń”). Nie jest to przypadek. Myślę teatrem nie poprzez tekst, ale poprzez temat i aktora. Jest to myślenie bliskie filmowej reżyserii. A konkretny reżyser filmowy w teatrze pozwolił nam na zapoznanie się z zastosowaniem innych środków wyrazowych, pozwolił na wyeliminowanie teatralizacji, która jest także synonimem złego aktorstwa. Potrafią nam reżyserów, którzy potrafili rozbudzić aktora, potrafili go uaktywnić — a takimi są reżyserzy filmowi w teatrze.

Artykuł jest ilustrowany wypowiedziami dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Powszechnego w Łodzi.

„Szwajk” J. Haszka, adaptacja i reżyseria: Janusz Zaorski, scenografia: Andrzej Czeczot, premiera w marcu 1976 r. Grigorij Gorin „Zapomnieć o Herostratesie”, przekład: Janina i Grzegorz Fedorowscy, reżyseria: Marek Okopiński, scenografia: Andrzej Markowicz, premiera 10 kwietnia 1976 r.

# FILM

## OSTATNI SPRAWIEDLIWI

Film „Policjanci” w reżyserii Petera Hyamsa w wielce interesujący sposób dopełnia pejzaż amerykańskiego filmu policyjnego, który obok westernu stanowi najtrwalszy i kto wie czy nie najważniejszy gatunek uprawiany przez tę kinematografię. W wydaniu amerykańskim film i powieść policyjna zawsze przekraczały swą funkcję podstawową, której założeniem głównym byłaby tylko rozrywka, której źródłem jest emocjonalna reakcja na sensacyjność wątków przedstawionych opowieści. Renesans amerykańskiego kina ostatnich lat wiąże się m. in. właśnie z serią znakomych filmów policyjnych, których funkcja społeczna jest bardzo wyrażona. Współczesne kino policyjne, korzystając z wypróbowanych konwencji tego gatunku, wprowadza motywy nowe, a ich doskonałość realizatorską, łącząc poetykę paradoksalną z wysublimowaną często kreacyjnością, wznosi się na najwyższe piętra umiędzynarodowienia i operatorskich, no i oczywiście — co zawsze było wielką siłą amerykańskiego kina — aktorskich.

Początkiem przemian, jakim uległ gatunek filmu policyjnego, był „Bullitt” i „Francuski łącznik” — oba znane naszej publiczności. Potem pokazano nam „Samotnego detektywa McQ”, obecnie właśnie „Policjantów”. Na rynku amerykańskim filmów z tej serii jest oczywiście znacznie więcej — wiele pisano np. o takich filmach jak „Brudny Harry”, „Nočný stróż” czy „Zadanie śmierci”.

Wspólną cechą wszystkich tych filmów jest to, że prawo i sprawiedliwość oderwane zostały od tego, co można by nazwać instytucjonalnością tych pojęć. Sądowictwo i policja przestały być ich nosicielami. Bohaterowie tych filmów, formalnie z instytucjami tymi związanymi, muszą prawa i sprawiedliwość dochodzić na własną rękę, co więcej, często wbrew dyktandom otrzymanym od swych szefów. Bullitt prowadzi swe śledztwo samotnie, to prawda, lecz opowieść o nim akcentuje przede wszystkim siłę presji i szantażu polityków i mafii. Bullitt ma jeszcze szansę zwycięstwa, bohater „Francuskiego łącznika” okazuje się już wobec tych sił bezradny. Bohaterowie „Policjantów” swa walkę przegrywają, ponoszą klęskę absolutną.

W filmie tym bez żadnych już osłonek przedstawia się ścisła współpraca elementów przestępczych z policją. Jeden z bohaterów mówi o tym, iż każdy ma swój telefon, od którego jest zależny, on od sierżanta, sierżant od kapitana, kapitan od szefa mafii — droga złożona, choć prosta. Jej celem jest zagwarantowanie bezpieczeństwa siłom najgroźniejszym dla życia społecznego i ograniczenie funkcji policji do działań przeciwko przestępstwom, które na tle tamtych wydają się marginalnymi zjawiskami, a jednocześnie są prosią konsekwencją tolerowania i popierania własnej tamtych sił. W sposób gorzki i ironiczny charakteryzuje to w „Policjantach” sekwencja, w której dwaj przyjaciele — policjanci zostają rozkazem swych przełożonych odłączeni od „wiel-

kiej sprawy” i oddelegowani do pilnowania miejskiego szajetu, gdzie spotykają się homoseksualści. Bohaterowie filmu należą do piosenki „obyczajówki”. W amerykańskich warunkach walka z prostytucją, homoseksualizmem czy pornografią ścierać się musi z wielką organizacją i wielkim biznesem, którego podstawą jest handel narkotykami.

Ten trop łapiają dwaj policjanci, gdy zapragną nim pójść, staną się niewygodni dla swych przełożonych. Rzecz w tym jednak, że młodzi detektywi traktują swoją pracę uczciwie, pragną walczyć ze zbrodnią i przestępstwem, zwłaszcza w ich postaci determinującej życie społeczne. Walkę swą prowadzić będą dalej na własną rękę. A więc znów ten sam główny motyw omawianej serii filmów i znów tak jak przy Bullittcie pytanie o motyw takiego wyboru. Czy jest nim upór jednostki, która nie chce przyjąć narzuconej funkcji marionetki, czy kieruje nią autentyczne poczucie sprawiedliwości i godności, które nakazuje konieczność walki z przestępstwem jawnym i tym ukrytym, a świadczącym o absolutnej degeneracji wszelkiej władzy.

Reżyser filmu „Policjanci” rysując sylwetki swych bohaterów, wydobywa raczej tę drugą motywację. Jego bohaterowie zyskują bezwzględnie sympatię widzów, choć przecież doszli do znacznego stopnia zniechęcenia na gwałt i przemoc. W swym działaniu są brutalni, jest to jednak jedyna broń, jaką walczyć można ze światem terrorku. To także staty rys bohaterów całej serii współczesnych filmów policyjnych. Rys przerażający, lecz chyba odpowiedzialny prawdziwemu obrazowi stosunków społecznych, w których żyją i działają.

Przegrana i upokorzenie, jakie przeżył bohaterowie „Policjantów”, jest ostatcznym upadkiem wiary w moc sprawiedliwego upadkiem wiary w moc sprawiedliwego. Jest kara za to, że poważnie traktowali swój zawód, wierzyli w jego postępowość. Ten znakomity zrealizowany film prezentujący przy tym nieznanymi u nas a świetnymi aktorów, Ellotta Goulda i Roberta Blake’a, dalece przekracza funkcję sensacji. Jest kolejnym oskarżeniem wizerunkiem kraju, w którym został zrealizowany.

EWA NURCZYŃSKA

P.S. Jestem zmuszona zwrócić uwagę kierownictwa kina „Przedwiośnie”, w którym film ten oglądałam, na potrzebę większej pielęgnacji pracą personelu. Światło na widowni włączono w chwili, gdy na ekranie zastąpiła stop-klatką. Na jej tle leca dialogowe napisy będące główną punktą tej opowieści. Część publiczności już ich nie przeczytała — czy odebrała jej szansę zrozumienia przedwiośnia ideal tego filmu. Było to dnia 6 maja br. na seansie o godzinie 16.

# KSIĄŻKA

## „POEZJA OBRZYDZENIA” CZYLI PROTEST - SONG PROZA

„Poezja obrzydzenia” — to stałe podwielonko Stefana Pękaly i jego przyjaciela — tłumacza Andreasa, bohaterów mikroopowieści Ireneusza Iredeńskiego „Manipulacja”. Używane przy rozmaitych okazjach doskonale oddaje klimat utworu, którego akcja rozgrywa się w środowiskach artystycznych i kontestacji cynjo-anarchistycznych Zachodu. Stefan Pękala jest młodym a już szeroko znanym rzeźbiarzem, przy tym — jak na wybitnego i wielce wrażliwego artystę przysłało — co ruzz objawia niezrównowagę i rozmaite „chimery”, przesładując go maniakalne, najczęściej alkoholowego rodowodu, wizje. Pigmaliłonowe uczucia. Zaproszenie na wystawę do Zurichu i pobyt w tym mieście wyznaczają całą fabułę, prostą dziecinnie, ale też nie w kolejnych jej wątkach, tylko w konfrontacji z odmienną rzeczywistością, innymi problemami i konfliktami tkwią walory tej prozy.

Po krótkotrwałym raczej epizodzie turpistycznym krytyka literacka dość zgodnym chórem przypisała twórczości Iredeńskiego do tzw. nurtu ironicznego. Trafność owej diagnozy potwierdza „Manipulacja” w całej pełni. Ironii, kpiny, groteski dużo tu, niekiedy nawet zwykłej zgrozy. Postawa taka umożliwia wszakże narratorowi ostrzejsze widzenie świata, bezkompromisowe jego wartościowanie, osmieszanie stereotypów, wyzyskanie konwencji.

Podobnie jak w „Trzecim królestwie” Andrzeja Kuśniewicza oraz „Patrycji” czyli o miłości i sztuce w środku nocy” Eugeniusza Kabacina w centrum uwagi znalazły się sprawy kontestacji uprawianej przez grupy zbuntowanej młodzieży pod hasłem: „niezajmowanie się polityką w czasach dziesiętysięcznych nie jest głupota, a zbrodnia”. Wyznawcy tego hasła z komuną Andreasa krytykują przybycia z Polski, zamiast bowiem „doprowadzić w Polsce rewolucję do końca” pojawili się w Szwajcarii, aby „dostarczyć burżuazji przedmiotów zbytku”. Całe szczęście, iż bohater „Manipulacji” posiada poczucie humoru oraz dobrą zetempową szkołę i potrafi wygrać dysputy z młodymi gniewnymi nie tylko słowem, ale i pięścią — gdy chce nieco dotkliwiej uświadomić rozmówcy, czym w gruncie rzeczy jest agresja i anarchizm.

Nie należy jednak odbierać poczyną-

Stefana Pękaly w kategoriach wewnętrznie czystego „sprawiedliwego” klerka ani — tym bardziej — traktować go jako dalekiego potomka Kordiana, przytrącającego się — śladem wielkiego poprzednika — odczynem z odległej ziemi szwajcarskiej. Takich ambicji bohater „Manipulacji” nie ma i mieć nie może, nie ten to bowiem format „człowieka. Prezentując w sferze polityki poglądy zdroworoządkowe, w życiu duchowym pokonany przez rozmaite fobie (spośród których najścisłej manifestuje się dżinizm, przepelnień odczuwaniem seksualnymi, odnośnienie się do śmierci) — jest Stefan Pękala przede wszystkim artystą, współczesnym przedstawicielem świata, czy nawet światka artystycznego, chociaż niekiedy zdradza młodopolskie zgola skłonności ku Sztuce. Wa wszelkoobecna artystyczna determinacja w zętknicę z kontestacją rodzi ow sataniczny hagening, w czasie którego rzeźbiarz z Polski obrzuca cuchnącymi wnętrzościami zwierzęcymi zgromadzoną na jego wernisazu w Kunsthause Millera elitę Zurichu, wywołując jedyny w swoim rodzaju skandal i zdobywając bez porównania większy rozgłos niż echa całej dotychczasowej wyrotowej działalności komuną Andreasa. Hapening ten jest zarazem arcydziełem „poezji obrzydzenia”.

Nie wydaje mi się wszakże, aby w ten sposób następowała kompromitacja kontestacji, mającej przecież u swego podłoża bunt, będącej jakąś formą protestu przeciwko społecznym niesprawiedliwościom. Protest wyraża bowiem ten wspólny mianownik, do którego doprowadzić można i kontestację, i hapening, i książkę Iredeńskiego — stającą wyśpiewany jedną, zmysłową prozą protest-song przeciwko wyrodniom współczesnego świata, rzutu-janiem także na pozycję sztuki.

TADEUSZ BŁĄŻEWSKI

I. Iredeński, „Manipulacja”, „Czytelnik, Warszawa 1975, nakład 30.000, cena zł 10.

XXIX  
RUSZYŁ

Zaczęło się prologiem, jak w klasycznym spektaklu. Ot taka sobie rozgrzewka zaledwie na 7-kilometrowej trasie. W sobotę, 8 maja 1976 roku, ruszył 29 WYŚCIG POKOJU. Jeszcze rok a będzie ich pełna trzydziestka.

Ruszył Wyścig Pokoju i zaraz powstało pytanie: jak wystartowali nasi? W prologu dobrze, na pierwszym etapie gorzej, ale nie jest źle. Tylko, że to wszystko nie ma znaczenia. Wyścig Pokoju dopiero się zaczął, jeszcze wszystko może się zdarzyć, jeszcze przed kolarzami 13 etapów. A gdy Czytelniczy dostaną bieżący numer „Odgłosów” do rąk, kolarze będą odpoczywali po przejechaniu prologu i czterech etapów. Już wytoni się czołówka, już wiadomo będzie między jakimi kolarzami zaczyna się decydująca walka. Ale jej rezultat pozostanie niezany do końca, do ostatnich kilometrów. W tej walce na trasie Praga — Warszawa — Berlin wszystko może się jeszcze zdarzyć.

dlatego Wyścig Pokoju ciągle interesuje, ciągle skupia uwagę kibiców. Jak pojadą nasi? Jak pojadą inni? Kto zostanie liderem? W tym roku te pytania są jakby mniej istotne. Wszyscy zdajemy bowiem sobie sprawę, że różne imprezy międzynarodowe sportowe traktują w tym roku inaczej, traktują jako kolejne sprawdziany przed wielką, olimpijską rywalizacją. Ryszard Szurkowski nie startuje w tegorocznym Wyścigu Pokoju też z tego powodu. Przygotowuje się do Olimpiady. I w systemie tych przygotowań nie zmieścił się Wyścig Pokoju.

A inni? Co robią inni? Jak się przygotowują do startu w Montrealu? Bokserzy spotkali się w Poznaniu na indywidualnych mistrzostwach Polski. Jak informowali sprawozdawcy nie było to najciekawsze mistrzostwo. Przegrywali faworyci. Przegrali między innymi Andrzej Biegalski. Przegrywali jednak nie dlatego, że spotkali lepszych, a przede wszystkim dlatego, że sami byli słabsi, źle przygotowani. Nie jest to pocieszający sygnał dla sympatyków boksu. Pytanie: czy bokserzy zdążą się przygotować na czas do walk w Montrealu? — odpowiedź znajdzie dopiero w czasie Olimpiady.

Kiedy Czytelniczy dostaną bieżący numer „Odgłosów” do rąk, znany już będzie wynik meczu polskiej reprezentacji piłkarskiej z reprezentacją Szwajcarii. Będzie to wynik meczu towarzyskiego, ale kibice piłkarzy z niecierpliwością czekają na wynik każdego meczu, gdyż wszyscy się martwią poziomem gry naszych piłkarzy. Przegrana w Lens z Francją, przegrana z Grecją w Atenach. Jak będzie w Bazylei?

Nie chcę bawić się w proka, ale wszystko wskazuje na to, że jeden rozdział z historii polskiej piłki nożnej, rozdział, który można byłoby zatytułować „Złoto i srebro z Monachium”, należy uważać za zamknięty. Rozpoczął się nowy rozdział, a przyszłość pokaże jaki otrzyma tytuł. W każdym razie przed Kazimierzem Górskim stoi nowe zadanie: ponowna budowa narodowej drużyny. Czy to się uda zrobić do rozpoczęcia Olimpiady?

Niektórzy skłonni są twierdzić, że poróżnił się do punktu wyjścia. Jesteśmy w takiej samej sytuacji jak w polskim piłkarstwie, w jakiej byliśmy przed Olimpiadą w Monachium. Jest to chyba nieporozumienie. Jesteśmy w zupełnie innej sytuacji. Kilka lat temu polskie piłkarstwo nie miało na swoim koncie złotego medalu z Olimpiady i srebrnego z Mistrzostw Świata. Nikt nie wymaga — oczywiście — aby polscy piłkarze stale wygrywali, ale kibice chcieliby mieć przynajmniej tę pewność, że sukcesy sprzed kilku lat nie były jednorazowym wydarzeniem, po którym wszystko wróciło do poziomu „ligowej młoci”. Wcale nie uważam, że powinniśmy zostać „piłkarskim imperium”, bo znając poziom „ligowej młoci” byłoby to imperium na glinianych nogach. Wydawało się jednak, że sukcesy reprezentacji wpłynęły na resztę, że staną się bodźcem dla dalszego doskonalenia umiejętności większości piłkarzy. Dziś już wiemy, że tak się nie stało. Gdzieś, w którymś miejscu popełniono błąd.

Dla mnie znaną była wypowiedź Kazimierza Górskiego po meczu w Atenach, który — jak to cytował sprawozdawcy radiowi — cieszył się z przynajmniej jednej piłkarze na boisku w Atenach chcieli grać. I znamienne dla mnie jest to, że np. „Głos Robotniczy” informując o tym, że Kazimierz Deyna zamierza grać w jednej z holenderskich drużyn, powołuje się na sportową prasę czechosłowacką, która pisze o tym obszerne. A dlaczego nie nasza prasa sportowa?

Bardzo lubimy dorabiać teorie do faktów. Teraz zapewne znów dowiemy się, że jesteśmy niesystematyczni, że nie potrafimy uprawiać gier zespołowych, że to i tamto. Tym, którzy będa specjalizowali się w dorabianiu takich teorii, chciałabym zwrócić uwagę na kolarzy podążających właśnie z Pragi przez Warszawę do Berlina i przypomnieć że jadą oni już po raz 29. W ciągu tych 29 wyścigów Polacy odnieśli kilka rażących porażek i kilka pięknych sukcesów, przeżywali kryzysy, wstępy i upadki — dostownie i w przenośni. A jeśli w końcu zwyciężali, to tylko dzięki wytrwałej pracy, nieustannemu doskonaleniu umiejętności, techniki i wyrobieniu kondycji. Wszyscy o tym niby wiemy, ale wszyscy też często o tym zapominamy. Piszę o tym nie dla usprawiedliwienia porażek piłkarzy, a dla pokazania, że z pracą u tych ostatnich coś nie bardzo. A bez pracy — wiadomo...

BOGDA MADEJ

## TELEFONY



Dalszy ciąg ze str. 1

Telefony zaczęły zdobywać popularność, wieszane na ścianach jak i stojące przybierały najróżniejsze kształty, często tylko trochę podobne do późniejszych bądź współczesnych nam aparatów telefonicznych. Nas, przywykłych do łączenia automatycznego, śmieszno trochę korbka inдукtora, którą wówczas kręciono sygnalizując centrali ręcznej chęć rozmowy.

Początkowo ludzie, przyzwyczajeni do osobistego kontaktu z rozmówcą, nie bardzo potrafili mówić do aparatu. Przymykali oczy, aby łatwiej wyobrazić sobie, że osoba, do której mówią, jest obok. Inni, pragnąc ułatwić przewodowi przenoszenie głosu, krzyczyli tak, że można ich było słyszeć i bez telefonu. Sam inżynier Henryk Machalski miał pewną słabostkę; po rozmowie telefonicznej kłaniał się z gratulacji.

Posiadanie telefonu na prywatny użytek stało się wówczas ambicją każdego nowoczesnego (i zamożnego, dodajmy) domu. A mogło to nastąpić w Warszawie dopiero od roku 1882, bo jak można dowiedzieć się z dziełowej techniki: „wczesną jesienią 1881 roku na chodniku nieparzystej strony ulicy Nowo-Próżnej, łączącej Grzybowską z Placem Grzybowskim, zatrzymywali się liczni przechodnie. Z zacięwanym obserwowali dom oznaczony numerem 6, a zwłaszcza jego dach, na którym wznoszono dziwną niewielką konstrukcję w kształcie wieżyczki”.

Zainteresowanie wzrosło jeszcze bardziej, gdy z wieżyczki wyprowadzono sieć drutów wówczas zwanych „telefonowymi”, które połączyły pierwszych abonentów z pierwszą warszawską centralą telefoniczną. Lokalizacja centrali wybrana była bardzo starannie w ówczesnym środku miasta. W tej to „stacyi głównej” na najwyższym piętrze, bezpośrednio pod wieżyczką w obszernym pokoju stały 4 łącznice, każda do obsługi 50 abonentów — przewidziano zatem 200 numerów. Przy łącznicach krzątały się telefonistki, od razu bowiem uznano, że ręce niewieście nadają się najlepiej do delikatnych manipulacji zapewniających sprawne połączenie.

Abonentów instruowano dokładnie, w jaki sposób mają korzystać z nowego wynalazku.

„Osoba pragnąca rozmówić się przez telefon, przystępuje do aparatu i dzwoni przez zakręcenie korbki przy jego górnej części, sygnalizując tak na stacyi głównej, następnie zbliża nie nazbyt usta do środkowej części aparatu i nie podnosząc głosu mówi z kim mianowicie chce rozmawiać, a jednocześnie zdławiwszy z widelcek ów lejek, który jest przyrządem do słuchania, przytyka go szczerlinie do ucha”.

Mimo tak szczegółowego instruktażu, pierwszym abonentem przytrafiła się dość często pomyłka, w rezultacie których telefonistki nasłuchiwały się wielu żalów, a specjalny instruktor musiał dodatkowo wyjaśniać poirytowanemu posiadaczowi telefonu, że „przyrząd do słuchania” służy naprawdę do tego właśnie celu i nie może być używany jako mikrofon. To samo co i w Warszawie Towarzystwo Telefonów Bella zainstalo- wało centralę, telefony i sieć telefoniczną w Łodzi, w lipcu 1883 roku, otrzymując koncepcję również na lat dwadzieścia. Centralna stacja znajdowała się w wynajętym lokalu „w starym i brudnym domu” przy ul. Cegielnianej (obecnie część ulicy Wieckowskiego i ul. Jaracza) i stamtąd wzdłuż ulicy Cegielnianej i Piotrkowskiej doprowadzono sieć telefoniczną na słupach do pierwszych abonen-

skich miastach, m. in. w Łodzi i okolicy w promieniu 20 km. Przejechała ona 1 lipca 1922 roku łódzką ręczną centralę telefoniczną liczącą niewiele ponad 2 tysiące przyłączonych abonentów w Łodzi i około 100 w okolicznych miejscowościach: Pabianice — 77, Zgierz — 25, Rzgów-Tuszyn — 7, Aleksandrów — 6, Lutomiernik — 5, Stryków — 5, Konstancynów — 4, Ruda Pabianicka — 1. Umowa została zawarta na 25 lat i zobowiązywała PAST do rozbudowy centrali łódzkiej w okresie 5 lat do 4500 telefonów w Łodzi i 1000 w okolicznych miejscowościach. Dyrektorem Okręgu Koncesyjnego łódzkiego został łódzianin, inż. J. Uleyski, zatrudniony jeszcze przed wybuchem I wojny światowej przy budowie i eksploatacji łódzkiej telefonii.

Umowa zobowiązywała PAST m. in. do zainstalowania telefonu nowemu abonentowi najpóźniej w ciągu dwóch tygodni od chwili złożenia wniosku o zainstalowanie telefonu. Sieć i centrala były rozbudowywane, ale miasto nadal nie mogło należycie korzystać z telefonów, zaś PAST miała zbyt małe zyski. Dlatego zdecydowano wybudować i uruchomić nową, dużą automatyczną centralę telefoniczną na specjalnie zakupionym placu w centrum miasta i tam, 1 listopada 1929 roku, zainstalowano automatyczną, szwedzką centralę typu Salme firmy L.M. Ericsson. Początkowo było do niej przyłączone 12.500 telefonów, ale mogła ona być rozbudowana do 20.000. Centrala ta działa do dziś, pracując wcale niezłe, jak na starszą. Przyłączone do niej są telefony, których numery zaczynają się na „2” i „3”.

Automatyzacja sieci telefonicznej w Łodzi, budowa i uruchomienie zupełnie nowej centrali automatycznej było wówczas nader poważnym problemem technicznym, gdyż po raz pierwszy w Polsce, a nawet w Europie, dokonano w niespełna 3 godziny (od 23,00 w nocy z 31 października do 1,50 w dniu 1 listopada) przełączenia tak dużej sieci z systemu ręcznego na nowoczesny system automatycznego łączenia.

Samo przełączenie central zostało dokonane sprawnie i prosto, ale poprzedzone było licznymi pracami przygotowawczymi trwającymi półtora roku, a stanowiło jak gdyby poligon doświadczalny dla mającej wkrótce nastąpić takiej samej, lecz na większą skalę zakrojonej operacji przełączenia ręcznej centrali warszawskiej z ok. 45 tysiącami telefonów również na centralę automatyczną. I dlatego uruchomienie przez PAST centrali w Warszawie w nocy z 18 na 19 października 1930 roku, w oparciu o łódzkie doświadczenia, trwało w I etapie zaledwie 4 godziny, od 0,15 do 4,10 a następne etapy trwały 1 do 1,5 godziny. Cała operacja zakończona w 1934 roku. Zainstalowano wtedy pierwszą w Polsce zegarynkę skonstruowaną w firmie L.M. Ericsson. Nagrania czasu na płytach zegarynki dokonała w języku polskim córka dyrektora technicznego PAST, Szwedka, inż. Sigge Häggberga.

W latach 1929-1930 zbudowano nową centralę międzymiastową w Łodzi, a w niej zainstalowano wkrótce polską, prototypową, powiedzielibyśmy dziś, aparaturę do zdalnego wybrania abonentów warszawskich. Aparatura zdała egzamin.

Zasięg koncesji PAST obejmował oprócz Łodzi również okoliczne miasta: Pabianice, Rzgów, Tuszyn, Zgierz, Stryków, Aleksandrów, Konstancynów, dlatego w miastach tych zainstalowane ręczne centrale przyłączyły do promieniście do miejskiej centrali automatycznej PAST na tak zwane stanowiska centrali podmiejskiej. Centrala podmiejska — ręczna — łącząca z centralami tych miast miała swoją siedzibę również w centrum miasta. Łódzianie, aby się połączyć z abonentami w tych miastach, wybierali cyfrę „9” oznaczającą centralę podmiejską.

W celu zwiększenia swoich zysków PAST opracowała plany zautomatyzowania również telefonicznego ruchu podmiejskiego (m. in. do Andrzejowa, Wiśniowej Góry — przedsię-

wzięcie wydawało się opłacalne, bo było bardzo dużo połączeń z tymi miejscowościami), ale do realizacji tych planów przed wojną nie doszło, podobnie jak nie zrealizowano zaplanowanej budowy w Łodzi następujących 4 central automatycznych miejskich. Z działań wojennych i okupacji łódzka centrala wyszła z niewielkimi stratami. Budynek centrali pozostał nie uszkodzony, gdyż nieliczni pracownicy centrali w porę zauważyli 50-kilogramową minę podłożoną przez Niemców, a radziecy saperzy rozbroili ją. Niemcy zdemontowali i wywieźli jedynie 2.500 numerów centrali automatycznej, część narzędzi i mierników, zniszczyli też archiwum PAST.

Wkrótce po wyzwoleniu miasta, już 25 stycznia 1945 roku, można było uruchomić łączność telefoniczną w mieście, a 15 marca tego roku uruchomiono centralę podmiejską, szybko też uruchomiono połączenia międzymiastowe. Pomimo zniszczeń i uszkodzeń, sytuacja na terenie Łodzi i okręgu łódzkiego wyglądała znacznie lepiej niż w innych miastach i regionach kraju. Dlatego Łódź udzieliła pomocy całkowicie zniszczonej łączności stolicy. Zdemontowano i zainstalowano na Pradze i w Warszawie ręczne centrale z Zgierza, Kutna i Pabianic, w sumie prawie 2 tysiące numerów, zastępując je na miejscu mniejszymi centralami. Kiedy odgruzowano i wyremontowano dwie automatyczne centrale warszawskie, wtedy do ich uruchomienia „wypożyczono” z Łodzi nieodzuwane elementy, co pozwoliło na szybkie uruchomienie pierwszych 6 tysięcy warszawskich telefonów, bez szkody dla działań łódzkich. Po wojnie, w 1945 roku w Łodzi, uruchomiono zakłady T-4 tzw. ZWAT produkujące duże ilości tak potrzebnych aparatów telefonicznych, do momentu przekazania produkcji w 1958 roku Radomskiej Wytwórni Telefonów.

W 1954 roku centrala automatyczna w Łodzi osiągnęła stan abonentów sprzed wojny, a w 1955 osiągnęła pełną pojemność 20.000 numerów. Dalszy rozwój „łódzkiej telefonii” odbywał się „dzięki” modernizacji w innych miastach. Np. Bydgoszcz i Lublin, instalując produkowane w kraju duże centrale Strowgera, usunęły zainstalowane przed wojną przez PAST centrale tego samego typu, co w Łodzi i zamiast wyrzucić je na złom, przekazały je Łodzi. I tak powstała centrala na Bałutach „5”. Natomiast w nowo, zakupione w Szwecji urządzenia, wyposażono centralę „4” dla dzielnicy Górna.

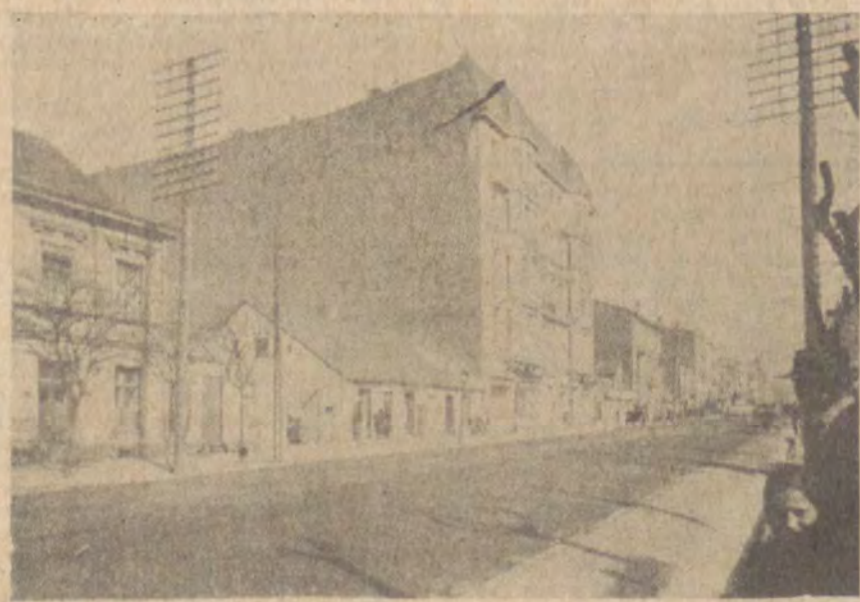
Choć zwiększała się ilość telefonów, to jednak pod tym względem przez wiele lat zajmowaliśmy ostatnie miejsce wśród wielkich miast Polski. Np. w roku 1971 w całym kraju zainstalowanych było 1.130.500 telefonów, w tym prywatnych 627.000, tzn. 34 telefony na 1000 mieszkańców. W tym czasie na 1000 mieszkańców przypadało w Warszawie 145 telefonów, w Poznaniu — 70, we Wrocławiu — 75, w Krakowie — 60, w Łodzi — 57. Prywatnych posiadaczy telefonów było na 1000 mieszkańców: w Warszawie — 107, we Wrocławiu — 55, w Poznaniu — 46, w Krakowie — 40, w Łodzi — 29.

Przed niespełna dwoma laty w rozmowie ze mną mgr inż. Włodzisław Szuffel, zastępca dyrektora Okręgu Poczty i Telekomunikacji w Łodzi, powiedział:

— Resort łączności przydzieli środki i urządzenia dla naszego miasta z taką tendencją, że przybywać będzie corocznie dla m. Łodzi przynajmniej jedna nowa automatyczna centrala telefoniczna i wprowadzony zostanie system 6-cyfrowy numeracji dla umożliwienia wszechstronnego wykorzystania możliwości automatyzacji ruchu w skali krajowej. Tak więc w latach 1976-1980 kryzys łódzkiej telekomunikacji będzie przewyższony i na pewno na „sto lat” swego istnienia, w 1983 roku łączność w naszym mieście będzie zaliczona do sprawnych, dobrze działających podstawowych usług komunalnych.

Oby!

MIROSLAW WOJALSKI





## U PRZYJACIOŁ NAGRODY LENINOWSKIE 1976

Tegorocznymi laureatami Nagród Leninowskich w dziedzinie literatury, sztuki i architektury zostali: Jonas Awizius, Iraklij Andronikow, Gieorgij Markow, Jelena Obrazcowa, Zurab Cereteli i Wasilij Szukszyn. „Ich dzieła — powiedział Nikołaj Tichonow, przewodniczący Komitetu Nagród — są nowymi wielkimi osiągnięciami realizmu socjalistycznego, głoszącymi głęboką prawdę o życiu człowieka”.

**JONAS AWIZIUS** — jeden z oślowych pisarzy litewskich. Nagrodę otrzymał za powieść „Stracona strzcha”, w której z niezwykłą siłą obrazował życie narodu litewskiego w latach ostatniej wojny, w której autor brał żołnierski udział. Debiutował w roku 1948 tomem subtelnych, refleksyjnych opowiadań, ujawniających doskonałą znajomość życia litewskiej wsi. Dotychczas opublikował 16 powieści, zbiorów opowiadań i książek dla dzieci. Jego utwory tłumaczone są na wiele języków Kraju Rad.

**GIEORGIJ MARKOW** — jest znanym pisarzem i działaczem, pierwszym sekretarzem Związku Pisarzy ZSRR. Nagrodą Leninowską został wyróżniony za powieść „Syberia”. Autor opiewa w niej walkę rewolucjonistów na Syberii i przeobrażenia tej krajiny po zwycięstwie Rewolucji Październikowej. „Syberia” została uznana przez krytykę za jedno z najważniejszych osiągnięć radzieckiej prozy ostatnich lat. G. Markow jest synem syberyjskiej ziemi i — jak sam wyznaje — jego pierwszą szkołą życia był pobyt wśród myśliwych. Pisarz poświęcił rodzinnej ziemi wszystkie swe dotychczasowe powieści, m. in. „Strogowowie”, „Sól ziemi”, „Ojciec i syn”.

**IRAKLIJ ANDRONIKOW** — otrzymał nagrodę w dziedzinie telewizji za zrealizowane w ostatnich latach filmy telewizyjne: „Wspomnienia o Wielkiej Sali”, „Koncert w Leninogradskiej Filharmonii”, „Słowo Andronikowa”. Jest zasłużonym działaczem sztuki RFSRR i Gruzińskiej SRR. Andronikow występuje w telewizji jako autor i jako aktor, jest znany ze swej erudycji, ma wielkie zasługi jako popularyzator sztuki. Jego filmy cieszą się uznaniem milionów ludzi, którym przybliżyły osiągnięcia radzieckiej kultury i sztuki.

**JELENA OBRAZCOWA** — jest znaną w świecie mezzosopranistką, wyróżniającą się mistrzowską sztuką interpretacji. Nagrodę otrzymała w dziedzinie muzyki i działalności koncertowo-wokalnej za recitale w latach 1973-74 oraz za rolę w operach „Semen Kotko”, „Carmen” i „Trubadur” w Teatrze Wielkim w Moskwie.

**ZURAB CERETELI** — jest znanym mistrzem gruzińskiej sztuki monumentalnej. Nagrodę otrzymał za koncepcję przestrzenną dziecięcego miasteczka w uzdrowisku w Adlerze. Jego projekt jest przykładem harmonijnego połączenia architektury i plastyki, w której warunki naturalne, budownictwo, malarstwo i plastyka związane są nierozdzielnie i związane w jedną całość.

### WASILIJ SZUKSZYN (1929-74)

Nagroda przyznana pośmiertnie za osiągnięcia w sztuce filmowej. Szukszyn był człowiekiem wszechstronnie utalentowanym, jako pisarz, reżyser i aktor. Tę wszechstronność talentu najpełniej zademonstrował w filmie „Kallina czerwonka”, w którym był autorem scenariusza, reżyserem i odtwórcą głównej roli. Krytyka nazwała ten film „poetycką refleksją na temat obowiązków człowieka, zadumą nad sensem życia”. Realizując własne filmy autorskie Szukszyn występował również w filmach innych reżyserów. Zmarł w czasie nakręcania zdjęć do filmu S. Bondarczuka „Oni walczyli za ojczyznę”, apartego na powieści Szolochowa. Śmierć zaskoczyła artystę tuż przed rozpoczęciem zdjęć do filmu historycznego „Stiepan Razin”, poświęconego przywódcy powstania chłopów w Rosji. Szukszyn był autorem scenariusza do tego filmu, w którym miał zagrać tytułową rolę.

Na mocy porozumienia zawartego 7 września 1945 roku między brytyjskim gabinetem ministrów i prezydentem Trumanem, na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat historycy nie mieli możliwości głębszego wglądu w materiały związane z najbardziej sprzecznymi decyzjami Churchilla. Porozumienie to, z którego treścią można się zapoznać w brytyjskim Archiwum Państwowym dopiero teraz, postanawia, iż „do oryginałów dokumentów o tajnym charakterze wywiadowczym nie należy dopuszczać historyków” i że „podstawowe wydarzenia powinni naświetlać autorzy, z którymi przeprowadzono odpowiednią pracę”.

Za „najbardziej delikatne” uważano dokumenty związane z faktem, iż Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym udało się zdobyć w tajemnicy szyfrującą maszynę Niemców — „Enigmę”. Dzięki temu, niemal przez całą wojnę, Brytyjczycy i Amerykanie znali najważniejsze tajemnice i plany krajów osi. W ubiegłym roku Stany Zjednoczone otworzyły wszystkie swoje archiwa, a w Anglii o tyle tylko, że stała się możliwa publikacja głośnej książki F. W. Winterbothama „Ultra Sekret”.

W książce tej, o której pisano już nie raz, mowa o rozszyfrowaniu najważniejszego niemieckiego kodu. Jednakże sprawę, jak Anglii wykorzystywali swoje zawczasu otrzymane informacje odnośnie zamierzeń Niemców omawia się w niej nader powściągliwie.

W maju tego roku w brytyjskim wydawnictwie „Allen” ukaże się książka pt. „Pod ochroną kłamstwa”. Autor tej obszernej pracy, K. Brown, zamieszcza w niej wiele zupełnie nieznanych dotąd faktów z historii drugiej wojny światowej. Brown zwraca uwagę, jak często musiał stawać Churchill przed niezwykle trudnym dylematem: podejmować czy nie podejmować kroki w celu zapobieżenia wykrytej groźbie ze strony Niemców, biorąc pod uwagę, iż wróg może powziąć podejrzenia, że jego najbardziej tajne szyfry zostały odczytane i natychmiast je zmieni.

Według wersji autora książki „Ultra Sekret”, o planie Niemców

dokonania „odwetowego” nalotu lotniczego na Coventry, 14 listopada 1940 roku, dowiedziano się przy pomocy maszyny odczytującej szyfry niemieckie, zaledwie pięć godzin przed nalotem. Dlatego też postanowiono nie ewakuować miasta z powodu braku czasu i obawy przed wywołaniem paniki.

Zupełnie inaczej wygląda to wydarzenie w naświetleniu K. Browna. Twierdzi on, iż Churchill wiedział o zamierzonym nalocie na Coventry już 48 godzin wcześniej. Zadnych kroków w celu wzmocnienia obrony miasta nie podjęto, o zamierzonym bombardowaniu nikogo nie powiadomiono. Potwierdza to kapitan A. S.

wersję autora tej książki o nieszczęsnym nalocie brytyjskiego lotnictwa na Norymbergę 30 marca 1944 roku.

W tej operacji lotnictwo brytyjskie straciło więcej lotników, niż podczas wszystkich miesięcy Bitwy o Anglię (jesień 1940) razem wziętych. Niemcy stracili 160 angielskich samolotów (przeciwnik nie doliczył się zaledwie 5 samolotów), a straty w ludziach w Norymberdze wyniosły 129 osób, wojskowych i cywilów łącznie. Brown jest niemal absolutnie przekonany, że Anglii wcześniej powiadomili Niemców o zamierzonym nalocie.

Z oficjalną historią nalotu na Norymbergę można się zapoznać w bry-

Niemców co do miejsca i czasu lądowania sojuszników na kontynencie. Ta ściśle tajna operacja dezinformująca wroga nosiła kryptonim „Fortitude”. Należało jednak zabezpieczyć całkowite zaufanie Niemców do ich agenta. Brown przypuszcza, iż wywiad brytyjski dążąc do osiągnięcia tego celu, polecił agentowi „Garbo” przekazanie Niemcom dokładnych szczegółów zamierzonego bombardowania Norymbergi.

Nalotu tego dokonano na osobisty rozkaz Churchilla. Norymbergę nie była bowiem obiektem wojskowym, naziści uważali ją za swoją partyjną Mekkę. Z wersją Browna — pisze Simpson — zgadza się generał F. Hinhand, były szef sztabu armii marszałka Montgomery: „Co najmniej w jednym wypadku — mówi generał — dezinformatorom polecono poinformować wroga na jakie niemieckie miasto zamierza się dokonać dużego nalotu powietrznego, żeby przekonać Niemców o niezawodności agenta, na którym spoczywało zadanie wprowadzenia w błąd naczelnego dowódcy wojsk niemieckich”. Generał przypomina sobie, że takiego nalotu dokonano w marcu w 1944 roku. Chodzi tu bez wątpienia, o bombardowanie Norymbergi.

Ładna pogoda, zupełnie nie sprzyjała dokonaniu nalotu: na całej długości lotu było zupełnie czyste niebo, a sam obiekt bombardowania zasnuwały chmury. Marszałek lotnictwa brytyjskiego Bennet protestował przeciwko wybranej marszrutie lotu, jak również taktyce samej operacji, ale bezskutecznie. Na co najmniej jedenastu lotniskach załogi bombowców otrzymały nieprawdziwe prognozy meteorologiczne, zapowiadające zachmurzenie na całej niemal trasie lotu. Prawdziwa prognoza pogody, zachowana w brytyjskim Archiwum Państwowym, zapowiadała jaskrawe światło księżyca i czyste niebo...

Z niemieckich dokumentów, które trafiły do rąk sojuszników wynika jasno, że Niemcy dokładnie znali marszrutę lotu oraz obiekt bombardowania już 6 godzin przed startem brytyjskich bombowców, którzy miały wykonać to zadanie. Raporty lotników, którzy mieli szczęście powrócić z tej operacji, są pełne gorczy, rozczarowania i domysłów o zdradzie. Niemniej zaufanie dowódcy niemieckiego do agenta „Garbo” zabezpieczono z powodzeniem, a ten wojenny podstęp być może uratował życie tysiącom żołnierzy w dniu lądowania wojsk sojuszników w Normandii — pisze Simpson. Może?

Minęły 33 lata nim ujawniono prawdę. Kłóregoś razu Churchill miał ponoć powiedzieć: „Prawda jest tak cenną rzeczą, że na jej straż powinno stać kłamstwo”.

JERZY CZECH

## KULISY II WOJNY ŚWIATOWEJ

# „ONI WIEDZIELI ŻE MY LECIMY...”

Hector, będący w owym czasie komendantem cywilnej obrony Coventry.

Podczas nalotu Niemcy zburzyli całkowicie lub częściowo 50,749 budynków, zginęło 554 osoby i 4.865 odniosło rany. Mimo iż według danych tej maszyny, znany był dokładny kurs, którym leciało 509 bombowców „Heinkla”, Niemcy stracili tylko jeden samolot. Lotnicy brytyjscy, którzy wykonali tej nocy 165 lotów bojowych, złożyli meldunki o spotkaniu w powietrzu zaledwie z dwiema maszynami wroga i tylko z dwiema spośród nich nawiązali walkę.

Autor książki „Pod ochroną kłamstwa” bezlitośnie i skrupulatnie rejestruje sprzeczne fakty. Książka obfituje w intrygujące szczegóły pracy służb wywiadu, w opisy tajnych operacji morskich, lotniczych i lądowych, ale jednak najbardziej interesujące, a nieraz szokujące, są wnioski autora, dzięki którym stanie się ona z pewnością dużym wydarzeniem edytorskim w Wielkiej Brytanii. Za największą sensację — pisze recenzent z londyńskiego „Sunday Times”, C. Simpson — należy chyba uznać

tyjskim Archiwum Państwowym. To pokryte grubym kurzem dossier, pod kryptonimem: „Lot 14/321” zawiera prognozy pogody, plany przelotów i schematy bombardowań. Trudno dziś odgadnąć bezmiar ludzkiej tragedii, którą kryje oschły język dokumentu sprzed 33 lat. Jednakże nieznany z nazwiska oficer wojskowego lotnictwa brytyjskiego, który z ogromną starannością skompletował te wszystkie dokumenty na użytek przyszłych historyków, pozostawił na okładce dossier swoją uwagę napisaną ołówkiem. W pięciu słowach przekazał treść wniosku, do którego doszedł Brown w swojej książce: „Oni wiedzieli, że my lecimy...”

Nalotu na Norymbergę dokonano 10 tygodni przed zaplanowanym lądowaniem wojsk sojuszników w Normandii. W londyńskim więzieniu Tower siedział w tym czasie skazany na karę śmierci agent niemieckiego wywiadu o pseudonimie „Garbo”, który kupił sobie życie za współpracę z sojusznikami, zgadzając się na przekazywanie swoim niemieckim chlebodawcom kłamliwych informacji. „Garbo” miał dezinformować

### CSU rozpoczęła kampanię wyborczą

### Wywiad prezydenta Francji dla prasy amerykańskiej

### Elias Sarkis prezydentem Libanu

Ponad cztery tysiące delegatów wzięło udział w ub. sobotę w monachijskiej imprezie, która rozpoczęła kampanię wyborczą pod hasłem „Wolność albo socjalizm”. Przewodniczący CSU Strauss oświadczył, iż najwyższy czas rozpocząć podstawowe starcie z przeciwnikiem politycznym.

Strauss zarzucił FDP, że nie test już partią liberalną jeśli pomaga marksistom zająć uprzywilejowaną pozycję władzy. Przewodniczący CSU przestrzegali ponownie przed Europą, w której powstałyby fronty ludowe, do których zresztą jego zdaniem dąży pewni politycy SPD. Przewodniczący SPD — Brandt zostanie — być może — jeszcze przed wyborami „usunięty” na szczebel europejski; Schmidt byłby wtedy szefem partii.

Strauss uważa, że zostanie utrzymana osiągnięta już zgodność między partiami unii, przestrzega jednak przed „polityką dopasowywania się do politycznych przeciwników”. Taka polityka wywołała nieco zamieszania

we włoskich szeregach. Mówca stwierdził, iż nowa „czwarta partia” nie ma szans osiągnięcia 5 proc. głosów i wejścia do Bundestagu. CSU nie dopuścił do tego, aby jej ludzie przechodzili do „czwartej partii”.

Prezydent Francji — Valery Giscard d'Estaing w końcu ub. tygodnia udzielił wywiadu przedstawicielom trzech pism amerykańskich o wielkim nakładzie: nowojorskiego dziennika „Daily News” oraz tygodników „Time” i „Newsweek”. Tematem wywiadu była polityka Francji oraz będąca obecnie w centrum uwagi prasy zachodniej sprawa ewentualnego udziału komunistów w rządach zachodnioeuropejskich.

W wywiadzie dla dziennika „Daily News” prezydent poruszył przede wszystkim sprawę stosunków ze Stanami Zjednoczonymi potwierdzając, że Francja jest nadal ściśle sprzymierzona z USA, podkreślił jednak, że „Amerykanie powinni zrozumieć

i tutaj muszę użyć dość silnego określenia — że Francja nie jest poddanym, lecz sojusznikiem”.

Na pytanie, dotyczące francuskiego budżetu wojskowego prezydent Francji odpowiedział: „W ciągu najbliższych lat Stany Zjednoczone, Niemcy Federalne i Francja będą miały największe w sojuszu budżety wojskowe. Świadczy to, że Francja zamierza zapewnić sobie wielką zdolność obronną, gdyż wewnątrz sojuszu jest ona poza USA jedynym krajem, który dysponuje kompletnym systemem obrony nuklearnej, taktycznej i strategicznej. W istocie Francja jest dzisiaj trzecią światową siłą nuklearną”.

W wywiadzie dla tygodnika „Time” prezydent Giscard d'Estaing poruszył sprawę ewentualnego udziału komunistów w rządzie francuskim i włoskim. Oświadczył on, że „Stany Zjednoczone popełniłyby błąd, gdyby ingerowały w sprawę ewentualnego udziału komunistów w rządzie włoskim. Naszym zdaniem — dodał prezydent — sprawa ta jest problemem wewnętrznym, jednakże jest rzeczą normalną, że Waszyngton wskazuje, jakie konsekwencje miałyby dla jego stanowiska zmiana sytuacji politycznej we Włoszech”.

W wywiadzie dla tygodnika „Newsweek” prezydent Francji również mówił o ewentualnym udziale komu-

nistów w rządzie włoskim, wyrażając opinię, że wejście ich w skład rządu miałyby „poważne konsekwencje ekonomiczne i społeczne dla Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, gdyż zasady EWG są trudne do pogodzenia z zasadami socjalizmu typu wschodnioeuropejskiego”. Giscard d'Estaing podkreślił, że nie popiera „zmiany dla samej zmiany”, lecz uważa, że jest ona niezbędna aby dostosować Francję do zmieniającego się kontekstu wydarzeń.

Parlament libański dokonał w dniu 8 maja wyboru nowego prezydenta republiki, którym został cieszący się poparciem prawicy libańskiej i Syrii Elias Sarkis. Partie lewicowe, które zbojkotowały wybory, wezwały masy ludowe do „stawienia oporu”, choć — jak komentuje Reuter — „nie jest jasne, czy zamierzają one podjąć ofensywę wojskową na pełną skalę”. 9 bm. wybuchły gwałtowne walki wokół Aintoury — miejscowości położonej o 25 km na wschód od Bejrutu. Mogą one — pisze Reuter — stać się zarzewiem nowego wybuchu wojny domowej na pełną skalę”. Przewódca lewicy, Kamal Dżumblatt, w wygłoszonym w niedzielę przemówieniu, ostro zaatakował — w ledwie zawałowany sposób — rząd syryjski, stwierdzając, że „postępowy ruch libański nadal odrzuca wszelką juratelę arabską”.

JERZY WILMAŃSKI

# DZIECI BAWIĄ SIĘ W POCZTĘ



Opowiem historię banalną i niewyjątkowo typową. Wszystko zresztą, o czym niżej będzie mowa, to historie banalne — zdarzające się każdemu z nas codziennie. Przywołuję te zdarzenia z Imperium Poczтового w upartym przekonaniu, że może jednak coś się w tym „państwie duńskim” zmieni...

Oto Łódź — ulica Brzozowskiego 1. Od paru tygodni skrytka na listy jest uszkodzona, czyli po prostu otwarta. Od paru tygodni jak gdyby nigdy nic listonosz zostawia listy w tej ogólnie dostępnej skrytce, z czego uciechę mają dzieci wybierając listy i bawiąc się nimi w pocztę.

Dzieci się bawią — to normalne, ale w pocztę bawią się chyba także — dorośli. Choćby ten listonosz, który się setnie musi bawić zostawiając listy w otwartej skrytce. Choćby urzędniczka UP przy rogu al. Politechniki i Cieszyńskiej, którą lokatorzy poinformowali o sytuacji... Nie pomogło, bo skrytka jest nadal uszkodzona.

Wreszcie ktoś pisze list do „Dziennika Popularnego”, gdzie ukazuje się notatka na ten temat. Oto ona:

„W naszym domu przy ul. Brzozowskiego 1 zepsuł się zamek przy skrytce pocztowej. Drobną sprawą urosła już do prawdziwego problemu. Przez trzy tygodnie bowiem nikt się nie kwapi, by zamek naprawić. Zrazu spodziewaliśmy się, że listonosz, przepraszam — doręczyciel, zauważy uszkodzenie i rychło zostanie ono naprawione. Doręczycielowi jednak to zupełnie nie przeszkadza. Jest na tyle niefrasobliwy, że zostawia korespondencję w otwartej i niczym nie zabezpieczonej skrytce. Skutek taki, że listami i innymi przesyłkami w najlepszym razie bawi się dzieci. Jestem „starej daty” i pamiętam czasy, gdy jeszcze byli listonosze a nie doręczyciele. Listonoszom taka niefrasobliwość się nie zdarzała.

Z poważaniem  
Anna Kowalska”

Dwa dni później z dyrekcji poczty dzwonią do redaktora „DP”: „Panie redaktorze — mówi urzędniczka — sprawdził się. Pod tym adresem nie mieszka żadna Anna Kowalska”.

W tym miejscu normalnie myślącego człowieka może trafić ślag. Zamianst naprawić skrytkę, chciało się pocztowcom bawić w Arsena Lupina i sprawdzać, czy pod wskazanym adresem mieszka autorka listu. Po co? Żeby ją nakłonić do odszczekania? Żeby ją namówić do naprawy? Nie wiem.

W każdym razie skrytka uszkodzona jest nadal. Powie ktoś, że lepiej było wysłać monterów? To byłoby za proste. Tak więc przez parę tygodni nie można się było uporać ze sprawą najprostszą pod słońcem. W tę zabawę w pocztę zaangażowali się oprócz dzieci: pan listonosz, pani urzędniczka z UP przy rogu al. Politechniki, pan Arsen Lupin od sprawdzenia listy lokatorów (mało sprytny zresztą, bo Anny Kowalskiej nie znalazł) i jeszcze parę pocztowych osób.

No i co — ładna zabawa?

Zasięg rozrywki jest dość duży. Oto Urząd Pocztowy nr 10 w Warszawie. Dnia 15 kwietnia br. Andrzej B. nadaje list polecony do redakcji „Odgłosów” w Łodzi. Do dnia 30 kwietnia br. list polecony nie zdołał przebyć zawrotnej odległości Warszawa-Łódź. Powie ktoś, że to zdarzenie banalne i typowe. Właśnie! Dlatego o tym piszę, bo ludziom opadają ręce.

Przyszedł do redakcji Kazimierz W. z Piotrkowa. Wysłano do niego 14 kwietnia ważny list z Milicza (woj. wrocławskie). List dotarł spóźniony — 24 kwietnia — mocno komplikując klientowi poczty sprawy rodzinne, bo był to list ze spółdzielni mieszkaniowej. Z Milicza do Piotrkowa jest nie więcej niż 300 kilometrów. Przez dziesięć dni można tę drogę przebyć piechotą.

Żeby zabawa była weselsza, urzędnik poczty w Piotrkowie na interwencję Kazimierza W., odpowiedział: „Co pan chce, przecież w tym czasie były święta”. Jak wiadomo Wielkanoc trwa w całej Polsce w niedzielę i poniedziałek — w Piotrkowie widocznie świętują cały Tydzień.

A jak długo świętowali pocztowcy z Białegostoku? Oto list wysłany z Mińska 20 lutego 1962 roku dotarł do adresatki w Białymstoku, Marii B., po... kilkunastu latach. W liście były gratulacje z okazji ślubu — nieco spóźnione, bowiem syn Marii B. kończy właśnie siódmą klasę. Dodajmy dla jasności, że poczta radziecka dostarczyła list z Mińska do Polski w ciągu trzech dni. Czternaście lat wędrował natomiast z poczty w Białymstoku do mieszkania Marii B.

Co robili przez ten czas pocztowcy? Pewno usprawiali pracę i podnosili wskaźniki.

Sklonność do żartów jest wśród pocztowców duża. Oto Instytut Kształcenia Nauczycieli w Łodzi wysłał listy do różnych osób na terenie dawnego województwa. Mam przed sobą dwa zwrócone listy. Na jednej kopercie pisze: „Proszę podać imię ojca”. Taki dowcipny był listonosz we wsi Rzeczyca (nr kodu 96-220). Na drugim zwrócić pisze: „Adresat zamieszkuje w Parzęczewie”. Ten list adresowany był do Grabowa, który dzieli od Parzęczewa jakieś 30 kilometrów.

Mógłby ktoś zapytać, czemu listonosz z Rzeczycy sam nie zapytał adresata o imię ojca, skoro miał bliżej i czemu listonosz z Grabowa nie przesłał listu do Parzęczewa, jeśli wiedział, że adresat tam mieszka? Są to oczywiście pytania naiwne. Tak postąpiliby może ludzie traktujący swoją pracę z napuszoną powagą, ale jeśli ktoś się tylko bawi w pocztę, może sobie przeciw pożartować.

Zabawą w pocztę zaraziły się także komputery na usługach Ministerstwa Łączności. Pisałem niedawno o rachunku telefonicznym na sumę prawie 50 tysięcy złotych. Dalszych losów jeszcze nie znam, na razie uszkodzona abonentka musiała złożyć podanie z prośbą, aby jej nie wyłączało z telefonu. Przepisy bowiem mówią, że reklamacja nie wstrzymuje płatności, więc zgodnie z literą pocztowego prawa należało najpierw zapłacić 50 tysięcy, a potem czekać na uwzględnienie reklamacji. Że to głupie — powie ktoś? Raczej tak, ale przepisy obowiązują.

Mam przed sobą inny komputerowy rachunek za telefon. Na końcu pozycji „rozmowy zamiejscowe” znajduje się tajemniczy szyfr „OKR”. W rubryce „data” — zero, w rubryce „nr telefonu” — zero, w rubryce „czas trwania rozmowy” — zero... Do zapłaty — 42 złote. Za co? Za coś, co się nigdy nie odbyło? (brak daty), za coś, co trwało zero minut? Tylko forsza jest realna. A może skrót „OKR” w rubryce „rozmowy zamiejscowe” oznacza, że abonent został OKR-adziony?

Przeprowadziłem szereg rozmów z abonentami telefonów. Wszyscy kłną w żywe kamienie oszukujące komputery. Bywa, że jedna rozmowa licznikowa z Warszawy wykazywana jest... trzy razy, bywa, że zamawiane pod 01 budzenie wykazywane jest pod tą samą datą... trzy razy... Poczta święcie wierzy w komputery i nie chce się przyznać do ich niedoskonałości. A komputery? Cóż, są na pewno udogodnieniem, ale pod warunkiem, że nie służą do zabawy. Komputer człowieka nie zastąpi, może mu tylko pomóc — ale podobnie jak człowiek — może się mylić, zwłaszcza jeśli obsługujący go człowiek nie jest do pracy z komputerem przygotowany.

Sprawa zabawy w pocztę wcale nie jest zabawna. Coraz bardziej tracimy zaufanie do poczty. Nie można wierzyć w obowiązujący rzekomo kanon, że listy na terenie Polski docierają do adresata najdalej w ciągu 3 dni, bo to dawno nieprawda. Nie można wierzyć w listy polecane, bo giną. Nie można wierzyć w rachunek za telefon. Nie można wierzyć w opłatki za przekazy...

Oto przykład. Mieszkaniec Teofilowa wysłał 572 złote (czynsz za mieszkanie) na konto „Lokatora”. W Urzędzie Poczowym przy ul. Moniuszki opłata za przekaz wynosi 6 zł. Za taki sam przekaz na taką samą sumę opłata w Urzędzie przy ul. Plantowej wynosi 10 zł.

Dlaczego? Nikt nie wie. Czy zatem w sytuacji rozluźnienia zasad można budować coś takiego, jak zaufanie klienta do instytucji usługowej?

Pytanie jest retoryczne — wiem. Gorzej, że odpowiedzi na pytania też będą retoryczne. Wieloletnie doświadczenie dziennikarskie mówi mi, że po tym felietonie reakcja będzie następująca:

Po pierwsze: telefon (lub delegacja) ze skargą na autora do władz.

Po drugie: odpowiedź pisemna zawierająca w trzech czwartych referat na temat osiągnięć poczty w minionym trzydziestolecu, w jednej czwartej inwektywy na autora przy całkowitym pominięciu istoty rzeczy.

Dlatego też tekst tego felietonu drukujemy w dziale „Usługi”, aby uprzejmie przypomnieć, że poczta — podobnie jak pralnie, handel i rzemiosło — pełni funkcje usługowe wobec społeczeństwa. Dlatego też wysyłamy ten felieton do wiadomości Ministra Łączności.

Zdaje sobie sprawę, że nie piszę rewelacji. Jest to tylko rejestr spraw, z którymi jako dziennikarz i klient poczty zetknąłem się w ciągu paru dni kwietnia 1976. Wolałbym tego rejestru nie mnożyć przez wszystkie dni roku. Ale cóż — życie nas do tego zmusza.



